











PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XX.



PISMA  
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XX

304967

RODZINA POŁANIĘCKICH

CZEŚĆ VI.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78956 L-P

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 9 Ноября 1899 г.



## XLVI.

A Marynia miała już spokój — «taki, jaki Bóg dal» — ale rzeczywiście głęboki. Wielką pomocą w odzyskaniu jego był ów zagrobowy głos, owa poźółkla już przez lata książeczka, w której wyczytała: «Nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada». Marynia, która często zaglądała do tej książeczki, nieraz poprzednio odczytywała te słowa, ale prawdziwego znaczenia nabrały one dla niej dopiero w ostatnich czasach, wśród tego procesu duchowego, przez który przechodziła od powrotu z Włoch. Skończył się on w ten sposób, że nie tylko pogodziła się z losem, ale obecnie nie dopuszczała nawet myśli, że jest nieszczęśliwa. Powtarzała sobie, że jest to szczęście inne wprawdzie, niż sobie wyobrażała, ale nie mniej rzeczywiste. Zapewne, że gdyby jej Bóg dal moc rządzenia sercami ludzkiemi, toby

chciała, żeby «Stach» okazywał jej — nie więcej czci — ale więcej takiej tkliwości, do jakiej był zdolny i jaką okazywał był w swoim czasie Litce; żeby uczucie jego dla niej mniej było trzeźwe, żeby było w niem to jakieś ziarnko poezji, którą miała jej miłość. Ale z drugiej strony, naprzód, gdzieś, w jakimś kąciку serca żywiła zawsze nadzieję, że to przyjsé może, a powtóre, myślała w duszy, że gdyby nawet nie przyszło, to i tak powinna Bogu dziękować, że jej dał człowieka dzielnego i prawego, którego mogła nietylko kochać, ale i cenić. Nieraz zastanawiała się, z kimby go tu porównać — i nie umiała znaleźć nikogo, ktoby porównanie wytrzymał. Bigiel był zacny człowiek, ale nie miał tego polotu; Osnowskiemu, przy całej jego dobroci, brakło tej dzielności życiowej i brakło pracy; Maszko był istotą we wszystkim stokroć niższą; Zawilowski wydawał jej się raczej genialnem dzieckiem, niż mężczyzną — słowem: z porównań Stach wychodził zawsze zwycięsko — i jedynym ich rezultatem zawsze było, że czuła do niego coraz większe zaufanie życiowe i coraz więcej go kochała. Przytem, ograniczając siebie, poddając mu swoje ja, przynosząc na ofiarę swoje rojenia i swój egoizm, miała poczucie, że coraz więcej wyrabia się duchowo, że się doskonalą, że staje się lepszą, że nie scho-

dzi na żaden niź, ale wstępuje na jakieś wyżyny, skąd duszy bliżej do Boga — i nagle spostrzegła, że w takim poczuciu leży cały świat szczęścia. Polaniecki często bywał teraz za domem, więc ona często zostawała sama i nieraz rozmawiała z wielką prostotą ucziwej kobiecinę: «Przecież człowiek powinien się starać, by być coraz lepszy, a jeżeli ja nie jestem gorsza, niż byłam — to i dobrze! Gdyby było inaczej, tobym się może popsula!» Nie przychodziło jej jednak na myśl, że jest w tem więcej mądrości, niż naprzykład we wszystkich myślach i powiedzeniach pani Osnowskiej. Wydało jej się też naturalnem, że tymczasem ma dla «Stacha» mniej powabu, niż przedtem. Od tego miała duże lustro, w które spoglądając, mówiła sobie: «No, oczy się nie zmieniają, ale co to za figura! co za twarz! Ja, żebym była Stachem, tobym uciekla z domu!» I myślała nieprawdę, bo nie byłaby uciekla, ale zdawało jej się, że w ten sposób powiększa zasługę Stacha. Dodawały jej też otuchy słowa pani Bigielowej, że potem będzie jeszcze ładniejsza, «zupełnie, jak jaka dziewczyna». I chwilami wzbierała w jej sercu radość i wdzięczność, że tak wszystko mądrze urządzone, iż z początku jest się trochę brzydzą, potem trzeba trochę przecierpieć, a jeszcze potem, nie tylko, że wszystko wraca, ale w na-

grodę ma się jeszcze «bobo» kochane, które i z życiem wiąże, i nowy węzeł między żoną a mężem wytwarza. W ten sposób miewała chwile nietylko spokoju, ale i wprost weselości — i raz rzekła pani Bigielowej:

— Wiesz, co ja myślę?... że zawsze można być szczęśliwą, tylko trzeba się Boga bać.

— Co to się ma jedno do drugiego? — spytała pani Bigielowa, która od męża przejęła się zamilowaniem jasności w rozumowaniu.

— A to, — odpowiedziała Marynia — żeby poprzestawać na tem, co On daje i nie dręczyć Go, że nie dal tego, co nam się zdawało najlepsze.

Potem dodała wesoło:

— Nie nudzić, nie nudzić!

I obie poczęły się śmiać.

Nieraz też, w troskliwości, niemal przesadnej, jaką Polaniecki okazywał żonie, znać było wyraźnie, że mu głównie chodzi o dziecko; ale Marynia nie miała mu już tego za złe. Poprawdzie, nie miała nigdy; obecnie jednak gotowa była uważać to za jego zasługę, albowiem powiedziała sobie, że teraz jest obowiązkiem ich obojga dbać przedewszystkiem o dziecko, jako o przyszłe wspólne kochanie. Tak zrzekając się z każdym dniem czegoś z własnego egoizmu, zyskiwała coraz większy spokój, coraz większą

pogodę, która odbijała się w jej oczach, tak cudnych, jak nigdy przedtem. Gotowa była i pod tym względem zgodzić się z wolą boską, ale trochę się bała Stacha — i pewnego dnia spytała go, żartując:

— Stachu, a nie wybijesz, jak będzie syn?

— Nie — odpowiedział, śmiejąc się i całując ją w rękę — ale wolalbym, żeby była córka.

— A ja slyszalam od pani Bigielowej, że panowie zawsze wolą chłopców.

— A ja jestem taki pan, który woli dziewczynę.

Nie zawsze jednak myśli jej były tak wesołe. Chwilami przychodziło jej do głowy, że może umrzeć, bo wiedziała, że się to zdarza, i modliła się gorąco, żeby się tak nie stało; bo naprzód bała się śmierci, powtóre żalby jej było odchodzić, choćby do nieba, wówczas, gdy zapowiadało jej się tyle kochania, a nakoniec wyobrażała sobie, że Stach ogromnieby jej jednak żałował. I na tę myśl rozczuła się nad nim tak, jakby już obecnie był człowiekiem najgodniejszym politowania ze wszystkich nieszczęśliwców na świecie. Nigdy też nie mówiła z nim o tem, chociaż zdawało jej się, że on sam czasem się tego obawia.

I myliła się najzupełniej. Doktorka, która



odwiedzała co tydzień Marynię, zapewniała za każdym razem i ją i Polanieckiego, że wszystko jest i postępuje najprawidłowiej, skutkiem czego Polaniecki nie miał żadnej obawy o życie żony. Powodem jego niepokoju było zgola co innego, czego Marynia, na szczęście dla siebie, ani się dotąd domyślala, a czego sam Polaniecki nie śmiał wyraźnie nazwać. Oto od niejakiogo czasu poczęło mu się coś psuć w życiowych rachunkach, z których był tak dumny i które dawały mu taką wewnętrzną pewność siebie. Przed niedawnym jeszcze czasem uważał, że jego teorye życiowe są jak dom, zbudowany z tegich bierwion i wsparty na potężnych fundamentach. W duszy pysznił się tym domem, a po cichu wywyższał się nad tych, którzy nie umieli sobie nic podobnego zbudować. Krótko mówiąc, uważał się za lepszego życiowego majstra od innych. Sądził także, że robota jest skończona od góry do dołu — tylko wejść, zamieszkać i wypoczywać! Zapomniał, że dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość, nietylko nie wolno jej spocząć, ale musi tego skrzydlami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Im zaś pokusa była lichsza i marniejsza, tem większa brała go na siebie złość, że jednak

jej ulega. Poziomy przedmiot i płaska żądza! — nie było się nawet czem przed sobą wytłómaczyć. A pomimo tego ściany domu poczęły się rysować. Polaniecki był obecnie człowiekiem religijnym — i to z przekonania, miał zaś za dużo szczerości wobec siebie samego, by wejść w układ ze swemi zasadami i powiedzieć sobie, że nawet najbardziej wierzącym ludziom zdarzają się podobne sprawy. Nie! Był on z natury człowiekiem dość bezwzględny, i logika mówiła mu: «albo, albo!» — czuł zaś, że tak mówi słusznie. Pokusie dotąd nie uległ, lecz gniewało go już to samo, że ją ma, albowiem prowadziło go do zwątpienia o własnym charakterze. Uważając się za lepszego od innych, nagle stanął wobec pytania, czy nie jest lichszym od innych, bo jednak pokusę nietylko miał, ale czuł, że w danym razie mógłby się jej poddać.

Nieraz, patrząc na panią Osnowską, powtarzał sobie zdanie Konfucjusza: «Kobieta zwyczajna ma tyle rozumu, co kura; kobieta nadzwyczajna — tyle, ile dwie kury» — na widok zaś pani Maszkowej przychodziło mu do głowy, że są kobiety, względem których ta oburzająca prawda chińska jest jeszcze pochlebstwem. Gdybyż przynajmniej można było powiedzieć o pani Maszkowej, że jest szczerze głupia, stanowiloby to pewien jej rys indywidualny. Ale ona była

żadna. Kilkanaście lub kilkadziesiąt formulek uczyniło z niej przyzwoitą nicosć. Równie jak dwieście lub trzysta wyrazów stanowi cały język mieszkańców Nowej Gwinei i zaspokajają wszystkie ich potrzeby, tak owe formułki wystarczały pani Maszkowej do stosunków towarzyskich, do myślenia i życia. Zresztą była bezdennie bierna, z tym odcieniem automatycznej powagi, jaką wytwarza ciasnota umysłowa i ślepa wiara, że gdy się zachowuje odpowiednie formy, nie można błędzić. Polaniecki taką ją znalazł i taką nieraz wyśmiewał, jeszcze jako pannę. Nazywał ją lalką, manekinem, miał do niej złość za owego lekarza, który dla niej zmarniał gdzieś, gdzie pieprz rośnie — lekcewał ją i nie lubił jej. Ale nawet i wówczas, ilekroć ją widział, czy to u Bigielów, czy gdy w sprawie Maszki chodził do pani Kraslawskiej, zawsze wracał pod fizycznem jej wrażeniem, z którego doskonale zdawał sobie sprawę. Ta zgaszona twarz, ów bierny, roślinny spokój jej wyrazu, ów chłód w zachowaniu się, owe zaczerwienione częstokroć oczy, owe wysmukłe kształty, miały w sobie coś, co go niezwykle pociągało. Tłómaczył to sobie wtedy jakimś prawem naturalnego doboru, i określiwszy rzecz technicznie, poprzestawał na tem, albowiem wrażenie, jakie czyniła na nim Marynia, było je-

szcze większe, więc za niem poszedł. Ale obecnie Marynia była jego i oswoił się z jej pięknnością, która zresztą na czas pewien znikła; złożyło się zaś tak, że z powodu częstych wyjazdów Maszki, widywał panią Maszkową prawie codziennie, skutkiem czego dawne wrażenia nietylko odżyły, ale, w warunkach, w jakich znajdował się Polaniecki ze względu na Marynię, odżyły z niespodzianą potęgą. I stało się wreszcie, że on, który nie zgodził się być paskiem do ostrzenia się dla dziesięć razy piękniejszej i bardziej uroczej pani Osnowskiej, on, który się oparł jej rzymskim fantazyom, on, który uważał się za człowieka zasad, silniejszego charakterem i tęższego umysłem od innych ludzi, spostrzegł teraz, że gdyby pani Maszkowa chciała trącić nóżką w ów gmach, to wszystkie jego wiązania mogłyby się rozluźnić, i pułap mógł mu spaść na głowę. Zapewne — nie przestalby żony kochać, bo się do niej szczerze i głęboko przywiązał — ale czuł, że byłby w stanie ją zdradzić — i to nietylko ją, ale siebie samego, swoje zasady, swoje pojęcia o tem, jakim uczciwy i moralny człowiek być powinien. Z pewnym przestraczem, a zarazem i ze złością odnalazł w sobie nietylko zwierzę ludzkie, ale i słabe zwierzę. Niepokoił się tem, buntował się przeciw owej słabości, a jednak nie mógł jej

zmódcz. Proszą rzeczą było wobec tego nie widywać pani Maszkowej, lub widywać ją jak najrzadziej — on tymczasem wynajdował powody, by ją widywać jak najczęściej. Z początku chciał się sam nimi usnąć, ale wobec wrodzonej mu szczerości wewnętrznej, było to niemożliwe i kończyło się na tem, że tylko sobie wymyślał. Natomiast oszukiwał nimi żonę i kogo wypadło. Gdy był razem z panią Maszkową, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią, od obejmowania wzrokiem jej twarzy i całej postaci. Brała go chorobliwa ciekawość, jakby ona znalazła się w razie, gdyby wobec niej wydał się z tem, co się w nim działo, coby wówczas rzekła — i lubował się mimowoli w przypuszczeniach, że zachowałyby się zupełnie biernie. Z góry nią za to pogardzał, ale tem bardziej stawała mu się pożądaną. Odkrywał w sobie całe góry zepsucia, które przypisywał swemu długiemu pobytowi za granicą i, mając się dotychczas za niepożytą i zdrową naturę, poczynął się niepokoić, czy się na sobie nie pomylił, i czy owo dziwne wrażenie, jakie czyniła na nim istota tak mało ponętna, nie jest objawem jakiejś newrozy, toczącej go mimo jego wiedzy. Nie przyszło mu do głowy, że mogą istnieć takie nawet stany, w których dusza mę-



ska kobietą wprost pogardza, a zwierzę ludzkie tęskni do niej.

W niej zaś instynkt zastępował bystrość: nie była już zresztą dość naiwną, by nie rozumieć, co znaczył jego ślizgający się po jej postaci wzrok, lub co wyrażały jego oczy, gdy, rozmawiając z nią, zwłaszcza gdy byli sami, patrzył z pewnym uporem w jej twarz. I naprzód doznała pewnego zadowolenia miłości własnej, jakiemu trudno się oprzeć nawet kobiecie uczciwej, gdy widzi wywierane przez siebie wrażenie, gdy czuje się wyróżnioną, bardziej pożądaną od innych — słowem: zwycięską. Poza tem gotowa była nie uznawać i nie widzieć niebezpieczeństwa, jak nie chce go widzieć kuropatwa, gdy chowa głowę w śnieg, czując krążącego nad sobą jastrzębia. Tym śniegiem były dla pani Maszkowej pozory. I Połaniecki to czuł. Wiedział jeszcze z kawalerskiego doświadczenia, że są kobiety, którym przedewszystkiem chodzi o ocalenie pewnych, często nawet dziwacznych, pozorów. Pamiętał takie, które wybuchały oburzeniem, gdy mówił do nich po polsku to, czego słuchały z uśmiechem po francusku; spotykał i takie, które były jak nieprzystępne twierdze u siebie w domu i w mieście, a jak wolne miasta na letnich mieszkaniach, na wodach, lub w kąpielach — i takie, które znosiły zamach,

a nie znosiły słów — i takie, dla których rozstrzygającą rzeczą było światło i ciemność. Wszędzie, gdzie uczciwość nie płynęła z duszy i z zasad, wszezepionych jak ospa w krew, opór lub upadek zależały od przypadku, od otoczenia, od zewnętrznych, nieraz blahych, warunków, od osobistych pojęć o pozorach przyzwoitości. Sądził, że takby być mogło i z panią Maszkową, i jeśli nie wszedł dotychczas na drogę prób i doświadczeń, to tylko dlatego, że walczył sam z sobą, że się nie chciał poddać i że, pogardzając nią na dnie duszy, pragnął uniknąć pogardy dla siebie. Hamowało go też przywiązanie do Maryni i współczucie, jakby pomieszane ze czcią dla jej stanu, i wdzięczność dla niej, i nadzieja ojcowstwa, którą się wzruszał, i pamięć na krótkość czasu, który z sobą przeżyli, i uczciwość, i uczucia religijne. Były to niby łańcuchy, na których trzymał jeszcze szarpiące się zwierzę ludzkie.

Nie trzymał jednak z równą zawsze siłą. Raz, a mianowicie tego wieczoru, w którym spotkał ich Zawilowski, o mało się nie zdradził. Na myśl, że Maszko wraca, i że pani Maszkowa dlatego śpieszy do domu, ogarnęła go nagle niska, czysto fizyczna zazdrość, i rzekł z pewną złością, tłumioną, ale wyraźną:

— Tak! rozumiem pani pośpiech! Ulisses wraca, więc Penelopa musi być w domu, ale...  
Tu uczul ochotę kłać.

— Ale co? — spytała pani Maszkowa.

Polaniecki zaś odrzekł bez żadnego zastanowienia:

— Właśnie dziś chciałbym panią dłużej zatrzymać!

— Nie wypada! — odpowiedziała krótko, swoim jakby precedzonym przez drobne sitko głosem.

I wtem: «Nie wypada!» była cała jej dusza.

On wrócił, klnąc naprawdę ją i siebie, a wróciwszy, zastał w jasnym, spokojnym pokoju Marynię z Zawilowskim, dowodzącą, że w małżeństwie winno się szukać nie jakiegoś urojonego szczęścia, ale obowiązków, które Bóg wówczas wkłada.

---

## XLVII.

— Co mi pani Osnowska i co mi jej wszystkie sprawy? — mówił sobie nazajutrz Zawilowski, idąc do pani Broniczowej. — Ja nie żenię się z panią Osnowską, tylko z *tą moją!* Po com ja się wczoraj tak szarpał i dręczył?

I rzekłszy to do «swojej duszy wyniosłej»,

począł już tylko myśleć o tem, co powie pani Broniczowej, albowiem, mimo upewnień Osnowskiego, mimo wszelkiej nadziei, że ta rozmowa będzie tylko jakąś formą, którą trzeba wypełnić, mimo zaufania do serca Linety i dobroci pani Broniczowej, «wyniosła dusza» była w strachu. Zastał obie panie razem — i już, ośmielony dniem wczorajszym, przycisnął do ust rękę Castelki, która sploniwszy się leciuchno, rzekła:

— A ja uciekam!

— Niteczko, zostań! — rzekła pani Broniczowa.

— Nie, — odpowiedziała — boję się i tego pana, i cioci.

Tak mówiąc, poczęła się ocierać swoją złotawą główką, jak rozpieszczona kotka, o ramię pani Broniczowej, powtarzając:

— Ciociu, nie zrób mu krzywdy! nie zrób mu krzywdy!

I spojrzawszy na niego, uciekła rzeczywiście. Zawilowski ze wzruszenia i nadmiaru miłości blady był jak płótno, a pani Broniczowa miała łzy na rzesach.

I widząc, że on gardło ma tak ściśnięte, że łatwiejby mu było płakać, niż mówić, rzekła:

— Ja wiem, po co pan przychodzi. Widziałam ja od dawna, co się w was dzieje, moje dzieci...

Zawilowski chwycił jej ręce i począł je kolejno do ust przyciskać, ona zaś mówiła dalej:

— Och, ja sama w życiu zbyt wiele czułam, żebym się nie miała znać na prawdziwych uczuciach — powiem więcej: to moja specjalność! Kobiety żyją tylko sercem i umieją serce odgadywać. Wiem, że pan Niteczkę prawdziwie kocha, i jestem pewna, że gdyby ona pana nie kochała, lub gdybym ja jej panu odmówiła, toby pan tego nie przeżył — prawda?

Tu poczęła patrzeć na niego pytającym wzrokiem, on zaś rzekł z wysileniem:

— Niechybnie, pani! Nie wiem, coby się ze mną stało!

— A co? ja to zaraz odgadłam! — odrzekła z rozpromienioną twarzą. — Ach, mój drogi panie, mnie dość spojrzeć! — to też nie będę złym duchem dla pańskiego geniuszu. Nie! ja tego nie zrobię, ja nie mogę tego zrobić! Kogo ja znajdę dla Niteczki? gdzie człowiek, któryby jej był wart? któryby miał w sobie to wszystko, co ona głównie kocha i ceni? Ja jej nie mogę oddać za takiego Kopowskiego i nie oddam, panie! Pan Niteczki może tak dobrze nie zna, jak ja, ale ja nie mogę i nie oddam!

Zawilowskiego, mimo całego wzruszenia, zdziwiała ta energia, z jaką pani Broniczowa odmawiała ręki «Niteczki» Kopowskiemu, tak, jak



gdyby on właśnie Kopowskiego, nie siebie, oświadczał, ciocia zaś mówiła dalej, wzruszona, ale widocznie lubująca się we własnych słowach i w położeniu:

— Nie! o Kopowskim mowy być nie mogło! Pan jeden potrafi uszczęśliwić Niteczkę. Pan jeden potrafi jej dać to, czego ona potrzebuje. Ja już od wczoraj wiedziałam, że pan będzie ze mną dziś mówił... Przez całą noc ani oka nie zmrużyłam. Niech się pan nie dziwi. Tu przecież o Niteczkę chodzi! — więc wahałam się jeszcze! Strach mnie brał przed dzisiejszą rozmową, bom z góry wiedziała, że się panu nie oprę, że pan porwie mnie swoim uczuciem i swoją wymową, tak jak wczoraj porwał pan Niteczkę.

Zawilowski, który ani wczoraj, ani dziś nie umiał słowa wybąkać, nie mógł jakoś zdać sobie sprawy, w czem właściwie leżała siła jego wymowy i kiedy miał czas z nią się popisać; lecz pani Broniczowa nie pozwoliła mu zastanowić się dłużej nad tem pytaniem:

— I wie pan, co zrobiłam? Oto, co zawsze czynię w najważniejszych chwilach życia. Rozmówiwszy się wczoraj z Niteczką, poszłam dziś rano na grób męża. On tu leży, w Warszawie... (Nie wiem, czy panu mówiłam, że on był ostatnim z Rury... a tak! mówiłam)! Ach, drogi panie,

co to dla mnie za ucieczka ten grób — i ile już wyniosłam stamtąd dobrych natchnień!... Czy chodziło o edukację Niteczki, czy o jaką podróz, czy o lokatę kapitałów, które mąż mi zostawił, czy o pożyczkę, której ktoś z krewnych, albo znajomych żądał, ja zawsze tam, jak w dym! I da pan wiarę? Nieraz, hipoteka, zdaje się, dobra, interes doskonały, nieraz nawet serce nakazuje dać, lub pożyczyć — a mąż, tam z głębi wiekuistego spoczynku, powiada: «Nie daj!» — i nie dawałam! I nigdy źle na tem nie wyszłam! Ach, drogi panie! pan, który wszystko czuje i rozumie, pan pojmie, jak się dziś modliłam, jak ze wszystkich sił duszy pytałam: «Dać Niteczkę, czy nie dać Niteczki?»

Tu chwyciła go rękoma za skronie i zawołała przez łzy:

— Ale mój Teodor odpowiedział: «Dać!» — więc ci ją daję — i moje błogosławieństwo w dodatku!

Łzy zgasiły istotnie dalszą wymowę pani Broniczowej. Zawilowski klęknął przy niej, panna «Niteczka», która weszła, jakby na umówioną chwilę, rzuciła się przy nim na kolana, pani Broniczowa zaś, wyciągnąwszy ręce, mówiła, łkając:

— Ona twoja! twoja! Daję ci ją ja — i daje Teodor!

Potem wstali we troje. Ciocia nakryła oczy chustką i pozostała bez ruchu; zwolna jednak poczęła nieco uchylać chustki, spoglądać z boku na oboje młodych; nagle roześmiała się i, grożąc im palcem, rzekła:

— Oj, wiem ja, czego by się wam teraz chciało! Chcielibyście zostać sami. Pewno macie sobie teraz coś do powiedzenia — prawda?

I wyszła. Zawilowski wziął wówczas rękę panny Castelli i patrzył z upojeniem w jej oczy.

Poczem siedli, i ona, pozostawiwszy swoje dłonie w jego rękach, oparła skroń na jego ramieniu. Była to jakby pieśń bez słów. Zawilowski począł pochylać głowę ku jej jasnej twarzy, Lineta przymknęła oczy, ale on był zbyt młody, zbyt nieśmiały, nadto czcił i kochał, więc nie odważył się jeszcze dotknąć ustami ust, tylko całował jej złotawe włosy — a i tak, pokój, w którym siedzieli, począł się z nim kręcić, ziemia poczęła się kręcić; potem wszystko znikło mu z przed oczu, stracił pamięć, gdzie jest, co się z nim dzieje, słyszał tylko bicie własnego serca, czuł woń tych jedwabnych włosów, które muskały jego wargi, i zdalo mu się, że w tem jest świat.

Lecz to był tylko sen, z którego trzeba się było zbudzić. Po pewnym czasie ciocia poczęła uchylać lekko drzwi, jakby chcąc jak najmniej

stracić z romansu, w którym odegrała, przy pomocy Teodora, rolę opiekuńczego ducha; w przyległym pokoju ozwały się głosy państwa Osnowskich, i w chwilę później panna Castelli znalazła się w ramionach cioci, z których przeszła w objęcia pani Anety, Osnowski zaś, ściskając ze wszystkich sił ręce Zawilowskiego, mówił:

— A jaka radość w domu, jaka radość! — bośmy cię tu wszyscy szczerze pokochali: ja, i ciocia, i Anetka, nie mówiąc już o tej małej.

Poczem zwrócił się do żony i rzekł:

— Wiesz, Anetko, czego ja Ignasiowi jeszcze wczoraj życzyłem? — żeby im tak było z sobą, jak nam!

I chwyciwszy jej ręce, począł je namiętnie całować. Zawilowski, jakkolwiek wogóle nie wiedział, co się z nim dzieje, odzyskał jednak o tyle przytomność, że spojrzał w twarz pani Anety; lecz ona odrzekła wesoło, odbierając mężowi ręce:

— Nie! Im będzie lepiej, bo Castelka nie taki trzpiot, jak ja, a pan Zawilowski nie będzie jej tak natarczywie całował rąk przy ludziach. No, Józiu, puść!

— Niech ją tylko tak kocha, jak ja ciebie, mój skarbie, moja dziecinko! — odpowiedział rozpromieniony Józio.

Zawilowski tego dnia został aż do wieczora

u pani Broniczowej i nie poszedł wcale do biura. Po śniadaniu wyjechali powozem wraz z cicią i panną Linetą, pani Broniczowa bowiem chciała ich koniecznie światu pokazać. Przejazdźka w Aleje niezupełnie się jednak udała z powodu krótkiego, nawalnego dżdżu, który rozpędził powozy. Po powrocie, pan Osnowski, poczciwy jak zawsze, postawił nowy wniosek, który Zawilowskiego uszczęśliwił:

— Przytulów nam nie ucieknie, — rzekł — mieszkamy tu i tak, jakby w pół na wsi, a że dosiedzieliśmy do końca czerwca, więc możemy posiedzieć jeszcze parę dni. Niechże ta zakochana para zamieni pierścionki przed wyjazdem, a przytem, niech nam z Anetką wolno będzie wyprawić im zaręczynowy wieczorek. Dobrze, ciciu? Widzę, że oni nic nie mają przeciw temu, a Ignasiowi będzie pewno przyjemnie mieć na zaręczynach swoich blizkich, państwa Polanieckich, państwa Bigielów... u tych ostatnich wprawdzie nie bywamy, ale to nic! Jutro będziemy u nich z wizytą, i rzecz się załatwi. Dobrze, Ignasiu? Dobrze, ciciu?

Ignas był oczywiście w siódmym niebie; co do cici, nie wiedziała wprawdzie, jakiego zdania byłby pod tym względem Teodor — i poczęła się wahać. Ale naprzód, można było Teodora jeszcze o to zapytać, a powtóre, przypomniała



sobie, że tak wielkim głosem odpowiedział ze swego miejsca wiekuistego spoczynku: «Dać!» że niepodobna było mieć wątpliwości co do jego dobrych chęci — w końcu więc zgodziła się na wszystko.

Po obiedzie nadszedł codzienny niemal gość, Kopowski — i okazało się, że był jedyną istotą w willi, której wieść o uczuciach i zaręczynach młodej pary nie sprawiła radości. Twarz jego wyrażała przez jakiś czas niewypowiedziane osłupienie, w końcu zaś rzekł:

— A ja, tobym się nigdy nie był domyślił, że panna Lineta pójdzie za pana Zawilowskiego.

Pan Osnowski zaś, trąciwszy łokciem Zawilowskiego, przymrużył oko i rzekł mu po cichu z wielce przebiegłą miną:

— Uważałeś? Ja ci wczoraj jeszcze mówiłem, że on się podkochuje w Castelce.

Zawilowski opuścił późnym wieczorem willę Osnowskich. Wróciwszy do siebie, nie zabrał się jednak do wierszy — choć zdawało mu się teraz, że jest jakąś harfą, której struny dźwięczą same przez się — ale do biurowej korespondencji i do rachunków, których we dniu nie mógł odrobić.

W biurze ujęło to wszystkich tak dalece, że gdy państwo Bigielowie po wizycie Osnowskich byli u nich z rewizytą, a zarazem z pierwszemi odwiedzinami u pani Broniczowej, Bigiel rzekł:

— Co są warte wiersze pana Zawilowskiego, to paniom wiadomo, ale może panie nie wiedzą, jaki to sumienny człowiek. Ja mówię dlatego o tem, że to u nas rzadka rzecz. Wtedy, jak tu u pań bawił cały dzień i nie mógł być w biurze, to je sobie kazał w nocy otworzyć dyżurnemu, zabrał książki i listy do domu i odrobił, co do niego należało. To miło pomyśleć, że się ma z takim człowiekiem do czynienia, bo takiemu można ufać.

Tu jednak zacny spółnik Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki zdziwił się, że tak wysoka pochwała z jego ust tak małe uczyniła wrażenie, i że pani Broniczowa, zamiast okazać radość, odrzekła:

— Ach, mamy nadzieję, że w przyszłości pan Zawilowski będzie się mógł oddać pracy odpowiedniejszej jego pozycyi i zdolnościom.

Wogóle wrażenie, jakie obie strony odniosły z poznania się, dowodziło, że obydwom było z sobą jakoś nieswojo. Bigielom podobała się wprawdzie panna Lineta, ale on, odchodząc, szepnął żonie: «Jak oni tu sobie wygodnie żyją!» Miał poczucie, że duszą tej całej willi jest jakby ciągle świętowanie, czyli próżniactwo, ale nie miał daru prędkiego wyrażania swych myśli.

Pani Broniczowa, po ich odejściu, mówiła do panny Castelki:

— Zapewne, zapewne!... To muszą być wyśmienici ludzie — tak!... Doskonali ludzie! jestem pewna... Tak!... zapewne!...

I jakoś nie kończyła swej myśli, ale «Niteczka» musiała ją jednak zrozumieć, albowiem odrzekła:

— Przecie to nie żadni jego krewni.

Ale w kilka dni później odezwali się i krewni. Zawilowski, który dotąd, mimo życzenia pani Broniczowej, nie był z przeprosinami u starego pana Zawilowskiego, odebrał od niego list następujący:

— «Panie Żbiku! Podrapałeś mnie niesłusznie, bo ja cię nie chciał obrazić, a że mówię zawsze to, co myślę, to mi wolno, bom stary. Musieli ci też powiedzieć, że ja twojej pannie w oczy nie mówię inaczej, jak «Póldyablę weneckie». Ale Bóg cię tam wiedział, że się kochasz i żenisz. Ja się o tem wczoraj dopiero dowiedział i teraz dopiero rozumiem, czemuś mi skoczył do oczu; ale że wolę paliwodów, niż ciemięgów, a nie mogę przez tę dyabłą pedogre przyjsć sam do ciebie, żeby ci powinszować, przeto przyjdź ty do starego, który ci jest życzliwszy, niż myślisz».

Po takim liście Zawilowski poszedł tego samego dnia i został przyjęty z serdecznością cokolwiek mrukliwą, ale tak szczerą, że tym ra-

zem stary weredyk podobał mu się naprawdę i że naprawdę poczuł w nim krewnego.

— Niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panna — rzekł stary. — Ja cię mało znam, ale tyłem o tobie słyszał, że chciałbym, żebym o wszystkich Zawilowskich mógł tak słyszeć.

I począł ścisnąć jego rękę, poczem zwróciwszy się do córki, rzekł:

— I jeniałna bestya, co?

Na odchodnem zaś spytał:

— A cóż «Teodor?» Nie bróździł ci tam zanadto? co?

Zawilowski, który, jako artysta, posiadał w wysokim stopniu poczucie śmieszności, i któremu w duszy wydał się także ów Teodor komicznym, roześmiał się i odpowiedział:

— Nie. Przeciwnie: był za mną.

A stary począł kręcić głową:

— To dyabło wygodny Teodor! Miej się na baczności, bo to wyga!

Pani Broniczowa miała jednak tyle prawdziwej czci dla majątku i towarzyskiego położenia starego pana Zawilowskiego, że zaraz na drugi dzień poszła do niego w odwiedziny i poczęła mu niemal dziękować za tak uprzejme przyjęcie krewniaka. Ale szlachcic niespodzianie rozgniewał się:

— Cóż to pani myślisz, że ja jaki furfant?—

rzekł. — Pani słyszałaś ode mnie, że ubodzy krewni to plaga — i myślisz, że ja mam im to za złe, że goli. Nie!... Pani mnie nie znasz! Tylko, wiedz pani o tem, że jak szlachcic straci wszystko i robi się goly, to najczęściej staje się szuja. Takie nasze charaktery, albo raczej, taki ich brak. A ten Ignacy — słyszę zewsząd — porządny człowiek, choć goly, i dlatego go kocham.

— I ja go kocham — odrzekła pani Broniczowa. — Wszakże pan będzie na zaręczynach?

— C'est décidé. Choćbym się miał kazać zanieść!...

Pani Broniczowa wróciła rozpromieniona i przy śniadaniu nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia przypuszczeń, które jej bujna fantazyja poczęła tworzyć:

— Pan Zawilowski — rzekła — to milionowy człowiek i bardzo przywiązany do nazwiska. Zupełniebym się nie dziwiła, gdyby naszego Ignasia zrobił swoim spadkobiercą, jeśli nie w głównej, to przynajmniej w znacznej części, albo gdyby który ze swych majątków w Poznańskim zmienił dla niego na ordynacyę. Zupełniebym się nie dziwiła.

Nikt nie zaprzeczył, bo widziano i takie wypadki na świecie; dlatego po śniadaniu pani Bro-



niczowa, uścisknąwszy Niteczkę, szepnęła jej do ucha:

— Oj, ty, ty! przyszła pani ordynatowo!

Wieczorem zaś rzekła Zawilowskiemu:

— Niech się pan nie dziwi, że ja się tak do wszystkiego mieszam, ale ja przecie wasza mama. Otóż mama ogromnie ciekawa, jaki pierścionek pan przygotowuje dla Niteczki? Prawda, że to będzie coś ładnego? Tyle ludzi będzie na tych zaręczynach! A przytem nie ma pan pojęcia, co to za malec wybredny! Ona taka nawet w drobiazgach estetyczna — i ma swój własny gust, ale jaki! ho! ho!

— Ja, chciałbym, pani, — odpowiedział Zawilowski — żeby w kamieniach były kolory, oznaczające wiarę, nadzieję i miłość, bo w niej moja wiara, moja nadzieja i moja miłość.

— Bardzo śliczna myśl! Mówił pan już o tem z Niteczką? Wie pan co? W środku niech będzie perła, na znak, że ona perła. Teraz symbole w modzie. Czy ja panu mówiłam, że pan Świrski, jak jej dawał lekcyę, to ją nazywał: «La perla»? A tak, mówiłam panu! Pan nie zna pana Świrskiego? On także... Mówił mi Józio Osnowski, że on dziś-jutro przyjeżdża. Więc to szafir, rubin, szmaragd i w środku perełka?... O tak! pan Świrski także... Czy pan będzie na pogrzebie?



— Na czyim, pani?

— Pana Bukackiego. Bo Józio Osnowski mówił mi, że pan Świrski przywiózł jego ciało.

— Nie znałem go, nigdy go w życiu nie widział.

— To lepiej. Niteczka będzie wolą, że pan go nie znalazł! Bóg w miłosierdziu swoim może mu przebaczyć, pomimo, że dla mnie nie był nigdy sympatyczny, a Niteczka nie mogła go znosić. Ale mała będzie rada z pierścionka, a jak ona rada, to i ja rada.

A «Mała» nietylko była rada z pierścionka, ale z życia wogóle. Rola narzeczonej nabierała dla niej coraz większego uroku. Przyszły śliczne, bardzo widne noce, w czasie których przesiadywali z Zawilowskim na balkonie i, przytulając się do siebie, patrzyli na drganie światła na liściach, albo gubili wzrok w srebrnej kurzawie drogi mlecznej i w rojach gwiazd. Od rosnącej pod balkonem akacyi szedł w górę zapach mocny i odurzający, jak z wielkiej kadzielnicy. W nich zmysły zdawały się usypiać, dusze zaś, ukolysane ciszą, same zmienione w czyste światło, rozpraszały się niejako wśród nocnych głębin, stapiały się w jedność z łagodnym blaskiem księżyca — i tak, oboje, siedząc z dłonią w dłoni, w półzapamiętaniu, w półśnie, zatracali prawie poczucie odrębnego bytu i życia, zachowując tylko

półświadomość jakiegoś powszechnego szczęścia i powszechnego «sursum corda».

Zawiłowski, gdy się potem rozbudził i wracał do rzeczywistego życia, rozumiał, że takie chwile, w których serce topnieje w owym panteizmie miłości i bije tem samem tętnem, jakim drga wszystko, co kocha się, łączy i łądzi we wszechświecie, są najwyższem szczęściem, jakie miłość dać może, i tak niezmiernem, że gdyby trwało dłużej, musiałoby zniszczyć ludzką jednostkę. Lecz, mając duszę idealisty, przypuszczał, że gdy przychodzi śmierć i oczyszcza z materji monadę ludzką, wówczas te chwile zmieniają się w wieczność — i w ten sposób wyobrażał sobie niebo, w którem nic nie jest pochłoniętem, lecz wszystko tylko złączonem i złączonem z ogólną harmonią.

Panna Lineta nie mogła wprawdzie szybować jego lotem, lecz odczuwała jakby pewien zawrót głowy, jakby pewne upojenie od jego pędu i czuła się także szczęśliwą. Kobieta, nawet niezdolna kochać człowieka, kocha jednakże miłość, a co najmniej—siebie i swoją w niej rolę, i dlatego najczęściej z radością przestępuje próg narzeczeństwa, czując zarazem wdzięczność dla mężczyzny, który otwiera przed nią nowe widnokreśli życia. Przytem, w pannę Linetę wma-

wiano miłość tak mocno, że w końcu uwierzyła w nią zupełnie.

I raz, gdy Zawilowski spytał jej, czy jest pewna siebie i swego serca, podała mu obie ręce, jakby z wylaniem, i odrzekła:

— O tak; teraz już wiem, że kocham.

On przycisnął wysmukle jej palce do ust, do czoła, do oczu, jak coś świętego, ale zaniepokoił się jednak jej słowami i spytał:

— Czemu dopiero *teraz*, Niteczko? Czy była chwila, w której myślałaś, że nie będziesz mnie mogła pokochać?

Panna Castelli podniosła w górę swe czarne oczy i zamyśliła się nieco; po chwili w kąci-  
kach jej ust i w dolkach twarzy poczał się zbierać uśmiech:

— Nie,— rzekła — ale ja jestem wielki tchórz, więc się bałam. Ja rozumiem, że kochać pana to inna rzecz, niż kochać pierwszego z brzegu.

I nagle poczęła się śmiać:

— Och! z panem Kopowskim to byłoby simple comme bonjour! Ale z panem!... Może ja nie umiem tego dobrze wyrazić, ale nieraz mi się zdawało, że to tak, jakby wstępować na jakąś górę, albo na jakąś wieżę. Gdy się raz stanie na wierzchołku, widać świat cały, przedtem jednak trzeba iść i iść, i trudzić się, a ze mnie — taki leniuszek!...

Zawilowski, jak był długi i kościsty, wyprostował się i rzekł:

— Jak mi się mój drogi leniuszek zmęczy, to go wezmę na ręce, jak dziecko, i poniosę choćby najwyżej.

— A ja się będę przytulala, żeby jak najmniej ciężyc — odpowiedziała Castelka, ściskając ramionka i wchodząc w rolę małego dziecka.

Zawilowski zaś ukląkł przed nią i począł całować brzeżki jej sukni.

Zdarzały się jednak na tem niebie i chmurki, ale nie oni temu byli winni. Młodemu człowiekowi zdawało się czasem, że jego uczucie nadto jest dozorowane, że i pani Broniczowa i pani Osnowska zanadto sprawdzają, czy kocha, zanadto rozpatrują, jak kocha. Tłómaczył to sobie wprawdzie ciekawością kobiecą i wogóle zajęciem, jakie w kobietach wzbudza miłość, ale wolałby był mieć więcej swobody i wolałby był, żeby mu nie pomagano kochać. Uczucie swe uważał za świętość, i przykro mu było czynić z niego wystawę dla niepowołanych oczu, a tymczasem śledzono każdy jego ruch i każde słowo. Przypuszczał także, że się muszą potem odbywać kobiece sesyc, na których pani Broniczowa z panią Osnowską wydają swoje «*approbatur*», i ta myśl gniewała go, bo sądził, że obie nie są nawet w stanie zrozumieć jego uczucia.



Gniewało go również, że Kopowski został zaproszony do Przytułowa i że wybierał się tam razem ze wszystkimi, ale w tym wypadku chodziło mu tylko o Osnowskiego, którego szczerze polubił. Pozorem do tych zaprosin był niedokończony przez pannę Linetę portret Kopowskiego. Zawilowski zrozumiał teraz jasno, że wszystko stało się tak za namową pani Osnowskiej, która doskonale umiała ludziom podsuwać swoje życzenia, jako ich własne. Chwilami przychodziło mu nawet do głowy prosić pannę Linetę, by zaniechała kończenia tego portretu, ale wiedział, że ją zasmuci tem żądaniem, jako artystkę, a przytem bał się, by go nie posądzono o zazdrość o takiego mydlka, jak «Koposio».

---

#### XLVIII.

Świrski przyjechał istotnie z Włoch z ciałem Bukackiego i zaraz na drugi dzień po przyjeździe poszedł do Polanieckich. Zastał jednak tylko Marynię, mąż jej bowiem wyjechał był za roгатki dla oglądania jakiejś wystawionej na sprzedaż kolonii. Marynię znalazł tak zmienioną, że z trudnością ją poznał, ale że w Rzymie polubił ją ogromnie, więc się tylko tem bardziej rozczulił jej widokiem; po chwili zresztą

wydala mu się tak wzruszająca i tak w swoim rodzaju piękna w aureoli przyszłego macierzyństwa, a prócz tego tyle mu nasunęła artystycznych porównań z rozmaitemi «primitivami» rozmaitych szkół włoskich, że, wedle zwyczaju, zaczął głośno swoje zachwyty wypowiadać. Ona śmiała się z jego oryginalności, ale jednak dodał jej pewnej w biedzie otuchy, i rada była, że przyjechał — naprzód dlatego, że czuła szczerą sympatyę dla tej krzepkiej i zdrowej natury, a powtóre, iż była pewna, że się będzie nad nią zachwycał i przy «Stachu», a tem samem podnosił ją w jego oczach.

Zatrzymała go też dość długo, chcąc, by doczekał powrotu Polanieckiego; ten jednak wrócił dopiero późnym wieczorem, a tymczasem nadszedł Zawilowski, który teraz, potrzebując kogoś, przed kimby mógł wylewać swój nadmiar szczęścia, odwiedzał panią Polaniecką dosyć często. Przez chwilę obaj ze Świrskim spoglądali na siebie z pewną ostrożnością, jak się zwykle zdarza ludziom wybitnym, którzy wzajem obawiają się wygórowanych pretensyi, a natomiast tem łatwiej przystają do siebie, gdy spostrzegą, że obaj są prości. Tak stało się i z nimi. Do złamania lodów przyczyniła się także i Marynia, przedstawiając Zawilowskiego, jako narzeczonego znajomej Świrskiemu panny Castelli.

— Jakże! — zawołał Świrski — znam doskonale. To moja uczenica!

I począł ścisnąć ręce Zawilowskiego, poczem mówił:

— Pańska narzeczona ma Tycyanowskie włosy... Trochę za wysoka, ale i pan wysoki. Takiego osadzenia głowy ze świecą szukać! Pan naturalnie musiał zauważyć, że ona ma w ruchach coś łabędziego. Ja nawet nazywałem ją Łabędziem.

— «La perla» — pamięta pan?

Świrski spojrział na niego z pewnem zdziwieniem:

— To jest taki obraz Rafaela w Madrycie — odpowiedział — w Museo del Prado. Skąd panu przyszła na myśl «La perla?»

— Zdaje mi się, że o niej coś od tych pań slyszal — rzekł zbity nieco z tropu Zawilowski.

— A tak, być może, bo ja mam u siebie w pracowni, na via Margutta, kopię własnej roboty.

Zawilowski powiedział sobie w duchu, że jednak trzeba być więcej ostrożnym w powtarzaniu słów pani Broniczowej, i po jakimś czasie począł się zbierać, szedł bowiem na wieczór do narzeczonej. Świrski podążył wkrótce za nim, zostawiwszy Maryni adres swojej warszawskiej pracowni i prosząc, by Polaniecki zo-

baczył się z nim w sprawie pogrzebu jak najprędzej.

Jakoż Polaniecki wybrał się do niego nazajutrz rano. Pracownia Świrskiego stanowiła rodzaj szklanej hali, przyczepionej jak gniazdo jaskółcze do dachu jednego z kilkupiętrowych domów, i trzeba było do niej iść osobnymi krętymi schodami, jak na wieżę. Natomiast artysta miał w niej zupełną swobodę i widocznie nie zamykał drzwi, albowiem Polaniecki, idąc do góry, usłyszał tępy dźwięk żelaziwa i basowy głos, śpiewający:

•Wiosna ciepłem na świat chucha,  
•Kwitną ciernie i rzeżucha,  
•A ja śpiewam, zamiast szlochać,  
•Bom cię także przestał kochać!  
Hu-ha-hu!!

— Dobrze — pomyślał Polaniecki, przystając dla nabrania tchu — ma bas, bo ma! Ale czem on, u licha, tak szczęka?

Lecz przeszedłszy resztę schodów, a następnie mały korytarzyk, zrozumiał powód, ujrawszy przez odemknięte drzwi Świrskiego, przybranego do pasa tylko w siatkową koszulkę, z pod której przeglądał jego herkulesowy tors — i z hantlami w rękę.

— O! jak się pan ma! — począł wolać Świrski, kładąc hantle na widok gościa. — Przepra-

szam, żem nieubrany, ale to nie; przytem się trochę hantlowałem. Wczoraj zaraz byłem u państwa, ale zastałem tylko panią. Cóż panie! przywiozłem naszego biednego Bukacyusza! A chata dla niego gotowa?

Polaniecki odrzekł, ściskając ręce malarza:

— Grób skończony od dwóch tygodni — i krzyż już stoi. Serdecznie witamy tu pana w Warszawie! Mówiła mi żona, że ciało jest już na Powązkach.

— Tymczasem w krypcie kościelnej. Jutro go pochowamy.

— Dobrze. Ja dziś jeszcze zamówię księży i dam znać znajomym. Co tam porabia profesor Waskowski?

— Miał pisać do was. Upały wypędziły go z Rzymu, i wiesz pan, dokąd pojechał? Oto między najmłodszych Aryjezyków. Mówił, że podróż zajmie mu ze dwa miesiące. Chce się przekonąć, o ile gotowi są do jego historycznej misyi. Pojechał na Ankonę i Fiume, a potem dalej i dalej!...

— Biedny profesorzysko! Myślę, że go czekają nowe zawody.

— To być może. Ludzie się z niego śmieją. Ja, wiesz pan, nie wiem, o ile najmłodszy z Aryów są zdolni do spełnienia jego idei — ale sama idea jest, dalibóg, tak niepospolita i chrześcijańska



i prawdziwa, że trzeba być takim Waskowskim, żeby się na nią zdobyć. Pozwolisz pan, że się ubiorę. Upały tu u was bez mała jak we Włoszech, i gimnastykować się lepiej w samym kafetaniku.

— A najlepiej wcale się nie gimnastykować w takie gorąco.

Tu Połaniecki spojrział na ramiona Świrskiego i rzekł:

— No, ale pan, to mógłbyś się za pieniądze pokazywać.

— Co? — rzekł Świrski — bicepsy niezłe. A obacz pan te deltoidey! To moja próżność. Bukacyusz zawsze powtarzał, że może mi każdy powiedzieć, iż maluję, jak idyota, ale nie wolno nikomu, że nie podniosę stu kilo jedną łapą, albo, że nie zrobię dziesięciu musz w dziesięciu strzałach.

— I taki człowiek nie przekaże swoich bicepsów, ani deltoideów potomstwu!

— Ha! cóż robić!... Boję się, panie, niewdzięcznego serca; jak Boga kocham, tak się boję! Znajdź mi pan taką drugą, jak pani Połaniecka, to nie będę się i dnia namyślał. Ale!... Czego mam życzyć? syna czy córki?

— Córki, córki!... potem niech będą synowie, ale pierwsza niech będzie córka.

— A kiedy się spodziewacie?

— Jakoby w grudniu.

— Daj Boże szczęśliwie! Pani zresztą zdrowa kobieta, więc niema się czego bać.

— Ogromnie się zmieniła, prawda?

— Ona jest inna, niż była, ale daj Boże najpiękniejszym tak wyglądać. Co to za wyraz! Czysty Botticelli! daję słowo! Czy pan pamięta ten jego obraz w willi Borghese? Madonna col Bambino e angeli? Tam jest jedna głowa anioła, trochę pochylona, ubrana w lilie: zupełnie pani, zupełnie ten sam wyraz! Wczoraj mnie to od razu uderzyło — i ażem się wzruszył.

To rzekłszy, poszedł za parawan, by wdziąć koszulę, i z za parawana mówił dalej:

— Pan pytasz, czemu ja się nie żenię! A wie pan, czemu? Bo nieraz mi się przypomina, co Bukacyusz także powtarzał, że ja mam ostry język i twarde bicepsy, a maślane serce — takie głupie, że gdybym miał taką żonę, jak pańska, i gdyby ta żona była w tym stanie, to, dalibóg, nie wiem, cobym zrobił? Czy chodziłbym przed nią na kolanach, czy czołem bił, czy stawiał gdzie w kącie na stole i adorował z podniesionemi rękoma — dalibóg, nie wiem!

Połaniecki począł się śmiać:

— Ej! — odrzekł — to się tylko tak zdaje... przed ślubem, a potem samo przyzwyczajenie miarkuje zbytek czułości.

— Nie wiem. Może ja taki głupi.

— Wie pan co? Jak już moja Marynia będzie wolna, trzeba, żeby dla pana znalazła żonę taką, jak sama.

— Zgoda!! — huknął z za parawana Świrski — Verbum! Oddam się pani w ręce, i jak mi powie: «Żeń się!» — tak się żenię z zamkniętymi oczyma.

I wyszedłszy jeszcze bez surduta, począł powtarzać:

— Zgoda! zgoda!... Bez żartów! Byle pani zechciała.

— Kobiety zawsze to lubią! — odpowiedział Polaniecki. — Żebyś pan był widział naprzykład, co taka Osnowska wyrabiała, żeby naszego Zawilowskiego ożenić z panną Castelli! A i Marynia jej pomagała — tyle, ile pozwoliłem. I ona uszkami strzygła. Kobietom w to graj!

— Poznałem wczoraj u państwa tego Zawilowskiego. Ogromnie miły chłopak. I to po prostu genialny łeb. Dość na niego spojrzeć. Co to za profil, z tem kobiecem czołem i z tą zuchwałą szczęką. Ma za długie piszczele i kolana musi mieć grubo wiązane, ale głowa pyszna!

— To nasz Benjaminek w biurze, i naprawdę ogromnie go kochamy, bo to przytem poczciwa natura.

— Aha! To on jest waszym urzędnikiem?

A ja myślałem, że to z tych bogatych Zawilowskich, bom za granicą widywał dość często jakiegoś starego oryginała bogacza.

— To jego krewny, — rzekł Polaniecki — ale ten nasz nie ma złamanego szeląga.

A Świrski począł się śmiać:

— Jakże! stary Zawilowski z córką, milionową jedynaczką! pyszna figura! Koło panny kręciło się tam we Florencyi i w Rzymie z pół tuzina porujnowanych książąt włoskich, a stary gadał, że córki za obcego nie da — *bo to, panie, kiepszejsza rasa*. Wyobraź pan sobie, że on nas uważa za pierwszą na świecie rasę, a między nami pewno Zawilowskich — i kiedyś dowodził tego tak: «Niech sobie — (powiada) — gadają co chcą! ja się dosyć najeździł po świecie, i ilu to Niemców, Włochów, Francuzów czyściło mi buty, a ja — (powiada) — butów nikomu nie czyścił, i nie będę!»

— Dobry! — odpowiedział, śmiejąc się, Polaniecki — to czyszczenie butów uważa nie za kwestyę pozycyi w świecie, tylko narodowościową.

— Tak, i zdaje mu się, że Pan Bóg po to wyłącznie stworzył inne «nacye», żeby szlachcicowi z pod Kutna miał kto wyczyścić buty, jak mu się podoba wyjechać za granicę. A czy on nie kręci nosem na małżeństwo młodego, bo

to wiem, że on Broniczów uważał za hetkę-pętelkę.

— Może i kręci, ale on się z naszym Zawilowskim niedawno poznał, przedtem nie widywali się, bo nasz to harda dusza i nie chciał pierwszy szukać starego.

— To go lubię. Byle tylko dobrze trafił, bo to...

— Co? Pan zna pannę Castelli? co to za dziewczyna?

— Ja znam pannę Castelli, ale, widzisz pan, nie znam się na pannach. Ba! żebym się na nich znał, tobym nie doczekał czterdziestki w kawalerskim stanie... One wszystkie dobre i wszystkie mi się podobają; tylko jak kilka z tych, które mi się podobaly, widziałem potem mężatkami — tak teraz żadnej nie wierzę. I złości mnie to — bo, żebym nie miał ochoty się żenić — no! to powiedziałbym: mniejsza z tem! — ale mam! Co ja mogę wiedzieć? Wiem, że każda ma gorset, ale jakie tam serce w tym gorsecie — licho wie! A w pannie Castelli się kochałem, bo zresztą ja się we wszystkich kochałem, którem spotkał. W tej może nawet więcej, niż w innych.

— I co? i jakoś jednak żeniaczka nie przyszła panu do głowy?

— LiCHA tam nie przyszła! Tylko wówczas nie miałem tych pieniędzy, co dziś, ni tego rozgłosu — byłem na dorobku, a wierz mi pan, że



ludzi na dorobku nikt się tak nie boi, jak do-robkowiec. Bałem się, że mi pan Bronicz albo pani Broniczowa minę zrobi, a że panny nie byłem pewny, więc dałem spokój.

— Zawilowski też przecie nie ma pieniędzy.

— Ale głośno o nim, i przytem jest stary Zawilowski — a to koligacya nie żartem. Kto o starym u nas nie słyszał? Zresztą co do mnie, mówiąc szczerze, nie smakowali mi Broniczowie do tego stopnia, że w końcu machnął ręką.

— To pan i nieboszczyka znalazł? Niech pan się nie dziwi, że ja tak wypytuję, bo mi idzie o naszego Zawilka.

— Panie, kogo ja nie znałem? Znałem i siostrę pani Broniczowej, panią Castelli. Przecie ja od dwudziestu czterech lat siedzę we Włoszech — a o czterdziestce to się tak mówi dla okrągłości. Naprawdę to mam czterdziesty piąty. Znałem i pana Castellego, który był zresztą dobry człowiek; znałem wszystkich. Cóż panu powiedzieć? Pani Castelli była egzaltowana kobieta, a odznaczała się tem, że nosiła krótkie włosy, że była zawsze nieumyta i miała newralgię w twarzy. Co do pani Broniczowej, tę pan znasz.

— A kto był pan Bronicz?

— «Teodor?» Pan Bronicz był dubeltowy dureń, raz dlatego, że był durniem, a powtóre, że się za niego nie miał. Zresztą milczę, bo:

«de mortuis nihil, nisi bene» — był o tyle tłusty, o ile ona chuda; ważył podobno przeszło sto pięćdziesiąt kilo i miał rybie oczy. Wogóle to byli ludzie przedewszystkiem próżni. Co tu się rozwodzić! Jak człowiek długo żyje na świecie i dużo ludzi widuje, a gada z nimi tak, jak ja gadam przy malowaniu, to się przekonywa, że istnieje prawdziwy wielki świat, który się wspiera na tradycyi, a prócz tego istnieje kanalia, która, mając trochę grosiwa, udaje wielki świat. Otóż nieboszczyk Bronicz i jego dzisiejsza wdowa zawsze mi trochę tręcili tym gatunkiem, dlatego wolalem się trzymać zdaleka. Ot, żeby Bukacki żył, tenby dopiero rozpuścił język ich kosztem. On wiedział, że ja się kochałem w Castelli, i co się ze mnie nadrzył, niech mu Bóg nie pamięta — a kto wie, czy słusznie, bo kto jest panna Lineta, to się dopiero pokaże.

— Mnie najbardziej chodziło, — odrzekł Polaniecki — żeby się właśnie o niej coś dowiedzieć.

— Wszystkie dobre, wszystkie dobre, tylko ja ich się boję, razem z ich dobrocią. Chyba mi pańska żona za którą zaręczy.

Na tem rozmowa się urwała, i poczęli mówić o Bukackim, a raczej o jutrzejszym jego pochówku, do którego Polaniecki porobił już poprzednio wszelkie przygotowania. Wyszedłszy do Świrskiego, zamówił jeszcze księży, a na-

stępnie dał znać znajomym o jutrzejszej godzinie.

Kościelny obrządek pogrzebowy był już odprawiony w swoim czasie w Rzymie, więc Polaniecki wezwał tylko kilku duchownych, jako człowiek religijny, by modlitwy swoje połączyli z modlitwami obecnych. Uczynił też to także przez przywiązanie i wdzięczność dla Bukackiego, który mu zostawił znaczną część swego majątku.

Prócz obojga Polanieckich, przybyli państwo Maszkowie, Osnowscy, Bigielowie, Świrski, pan Pławicki i pani Emilia, która chciała odwiedzić zarazem Litkę. Dzień był prawdziwie letni, słoneczny i znojny. Cmentarz wyglądał zupełnie inaczej, niż za poprzednich bytności Polanieckiego. Wybujale ogromnie drzewa stanowiły jakby zbitą, gęstą, złożoną z ciemniejszych i jaśniejszych liści zaslone, pokrywającą głębokim zielonym cieniem białe i szare pomniki. Miejscami cmentarz wydawał się wprost lasem, pełnym mroku i chłodu. Na niektórych grobowcach drgała świetlista sieć promieni słonecznych, precedzonych przez liście akacyi, topoli, grabów, bzów i lip; inne krzyże, zatulone w gąszcz, zdawały się drzemać w chłodzie nad mogiłami. W gałęziach i wśród liści rojno było od ptasiego drobiazgu, który odzywał się ze wszyst-

kich stron nieustannym świegotem, lagodnym i jakby umyślnie przyciszonym, by śpiących nie budzić.

Świrski, Maszko, Polaniecki i Osnowski wzięli na ramiona wąską trumnę ze szczątkami Bukackiego i poczęli ją nieść do przygotowanego grobu. Księża, w białych komżach, które to rozbłyskały w słońcu, to gasły, szli przed trumną, za nią czarno ubrane młode kobiety, i cały ten orszak posuwał się zwolna przez cieniste aleje, cicho, spokojnie, bez łkań i łez, towarzyszących zwykle pogrzebom, tylko z powagą i smutkiem, który tem był na ich twarzach, czem cień od drzew na grobowcach. Była w tem wszystkim jednak jakaś pełna melancholii poezya — i wrażliwa dusza Bukackiego potrafiłaby odczuć wdzięk tego żalobnego obrazu.

W ten sposób przyszli do grobowca, który miał kształt sarkofagu i cały był wzniesiony nad ziemię, Bukacki bowiem mówił był za życia Świrskiemu, że nie chce leżeć w piwnicy. Trumnę łatwo wsunięto przez żelazne drzwi do środka, poczem oczy kobiet wzniosły się ku górze, usta poczęły szeptać modlitwy, i po chwili zostawiono Bukackiego cmentarnej samotności, drzewom szumiącym, świegotowi ptactwa i bożemu miłosierdziu.

Pani Emilia i Polanieccy poszli następnie do

Litki; reszta towarzystwa czekała na nich w powozach przed kościołem, bo tak sobie życzyła pani Osnowska.

Połaniecki miał sposobność przekonać się przy grobie Litki, jak dalece ta, tak bardzo niegdyś kochana dziewczyna, zblękitniała mu już w duszy i rozwiała się w cień. Niegdyś, ilekroć odwiedzał jej grób, tylekroć buntował się przeciw jej śmierci i nie zgadzał się na nią, z całą namiętnością świeżego żalu. Dziś wydało mu się rzeczą prawie naturalną, że ona tu sobie leży w cieniu tych drzew, na tym cmentarzu; miał niemal poczucie, że tak musiało się skończyć; przestała być dla niego prawie zupełnie realną istotą, a stała się tylko słodką mieszkanką pamięci, westchnieniem, światłem, rodzajem jeno takiego wspomnienia, jakie zostawia muzyka.

I byłby się może oburzył na siebie, gdyby nie to, że spostrzegł, iż pani Emilia wstała po odmówionej modlitwie z twarzą pogodną, z wyrazem wielkiej tkliwości w oczach, ale bez łez. Zauważył przytem jednak, że wygląda jak osoby chore, że z trudnością podniosła się z klęczków i że, idąc, wspiera się na lasce. Jakoż ona była już w początkach ciężkiej choroby krzyża, która później na kilka lat przykula ją do łóżka i puściła dopiero do trumny.

Przed bramą cmentarną czekali na nich



Osnowscy; pani zaprosiła ich na jutro na wieczorek zaręczynowy Zawilowskiego, a potem «kto łaskaw», do Przytułowa.

Świrski siadł wraz z panią Emilią do powozu Polanieckich i przez czas jakiś zbierał w milczeniu wrażenia, a wreszcie rzekł:

— Jakie to dziwne! Dziś byliśmy na pogrzebie, jutro będziemy na zaręczynach: co śmierć wykosi, miłość posieje — i to jest życie!

---

## XLIX.

Zawilowski życzył sobie, by jego zaręczyny odbyły się nie wieczorem, przy ludziach, tylko przedtem, i stało się zadość jego woli, tembardziej, że Castelka, która chciała przed ludźmi ukazać się już jako narzeczona, poparła go wobec cioci Broniczowej. Było im tak swobodniej, i gdy ludzie poczęli się schodzić, oboje występowali już, jako młoda para. Od panny Linety bil blask szczęścia. Sama znajdowała urok w roli narzeczonej, i rola dodawała jej uroku. W wysmukłej jej postawie było coś skrzydlatego; powieki nie zapadały jej dziś sennie na oczy; źrenice były świetliste, usta w uśmiechach, twarz w rumieńcach. Była tak ładna, że Świrski,

ujrzawszy ją, nie mógł się jednak wstrzymać od kilku cichych westchnień za rajem utraconym, i odzyskał pogodę duszy dopiero wówczas, gdy przypomniał sobie swoją ulubioną piosnkę:

•A ja śpiewam, zamiast szlochać,

•Bom cię także przestał kochać!

Hu-ha-hu!

Zresztą wszystkich dziś uderzała jej piękność. Stary pan Zawilowski, który się kazał na swoim fotelu wnieść do salonu, zatrzymał jej ręce i przez jakiś czas patrzył na nią, poczem, oglądając się za córką, rzekł:

— No! że takie «póldyablę weneckie» może głowę zawrócić, to może, a zwłaszcza poecie, bo to, panie, jak powiadają, u nich w głowach: fiu! fiu!

Poczem zwrócił się do młodego i spytał:

— A co? nie skrećisz mi dziś karku, żem na nią powiedział: «póldyablę weneckie?»

Zawilowski zaś rozśmiał się i, pochyliwszy głowę, pocałował w ramię staruszka:

— Nie; dziśbym nie mógł nikomu skrećić karku.

— No! — rzekł stary, widocznie uradowany z tej oznaki czci. — Niech wam Bóg i Najświętsza Panna błogosławi. Mówię: i Najświętsza Panna, bo Jej opieka to grunt!...

To rzekłszy, począł szukać za sobą w fotelu

i, wydobywszy duże jubilerskie pudelko, mówił do Linety:

— A to od rodziny Zawilowskich: daj ci Boże długo nosić.

Castelka, wzięwszy pudelko, przegięła swą wdzięczną postać, by również pocałować go w ramię, on zaś objął ją za szyję i rzekł do młodego:

— Chodźże i ty!

I ucałował oboje w czoło, z większem wzruszeniem, niż chciał okazać, mówiąc przytem:

— A kochajcieże się i szanujcie, jak ucześciwi ludzie.

Panna Lineta otworzyła następnie pudelko, w którym na szafirowej aksamitnej podścieli rozbłysła wspaniała rywiera. Stary powtórzył raz jeszcze z naciskiem: «Od rodziny Zawilowskich» — chcąc widocznie okazać, że panna, która wychodzi za Zawilowskiego, nawet nie mającego majątku, nie robi złego interesu. Ale nikt go nie słuchał, gdyż głowy młodych pań: pani Linety, pani Osnowskiej, pani Maszkowej, pani Bigielowej i nawet Maryni, pochyliły się zwartym wiankiem nad migotliwymi kamieniami, i usta wstrzymywały czas jakiś oddech, nim wreszcie szmer podziwu i pochwał przerwał milczenie.

— Nie o te brylanty chodzi! — wołała pani

Broniczowa, rzucając się niemal w objęcia staro-  
rego pana Zawilowskiego — ale jaki dar, takie  
serce!

A staruszek bronil się i powtarzał:

— Daj pani spokój! daj pani spokój!...

Poczem towarzystwo rozbiło się na pary,  
lub małe gromadki. Narzeczeni zajęli się tak  
sobą, że cały świat zginął im z oczu; Osnowski  
ze Świrskim przysunęli się do Maryni i pani  
Bigielowej; Kopowski jął zabawiać panią domu,  
a Połaniecki panią Maszkową. Co do samego  
Maszki, chodziło mu widocznie o bliższe pozna-  
nie się ze starym Krezusem, bo zastawił go tak  
krzesłem, że nikt nie mógł się do niego zbliżyć,  
i począł z nim rozmowę o czasach dawnych  
i dzisiejszych, która, jak łatwo odgadł, stano-  
wila ulubiony temat dla staruszka.

Był jednak nadto sprytny, by być we wszyst-  
kiem jego zdania. Pan Zawilowski zresztą nie  
zawsze napadał na nowe czasy, owszem, w czę-  
ści je podziwiał, w części uznawał, że pod wielu  
względami idą ku lepszemu, ale swoją drogą  
nie chciały mu się w głowie pomieścić, Maszko  
zaś tłómaczył mu, że wszystko na świecie musi  
się zmieniać, zatem, tak dobrze szlachta, jak  
inne warstwy ludzi.

— Ja, szanowny panie, — mówił — trzymam  
się roli przez jakieś dziedziczne instynkta, przez

to coś, co człowieka, który z ziemi wyszedł, do ziemi ciągnie — ale, administrując własnym majątkiem, jestem przytem adwokatem i jestem poniekąd z zasady, bo trzeba, żebyśmy mieli swoich w tej gałęzi. Inaczej zostaniemy na lasce i niełasce ludzi, pochodzących z innej sfery i często wprost przeciw nam uprzedzonych. I muszę naszym ziemianom oddać tę sprawiedliwość, że po większej części rozumieją to dobrze, i dlatego wolą swoje interesa powierzać mnie, niż innym. Niektórzy poczytują to sobie poniekąd za obowiązek.

— To tam, panie, w palestrze zawsze bywali nasi, — odpowiedział pan Zawilowski — ale w innych fachach, czy szlachcie da sobie radę — dalibóg, nie wiem! Słyszę ja to, słyszę, żeśmy się powinni do wszystkiego brać, tylko ludzie zapominają, że brać się a wskórać — to dwie różne rzeczy. Pokaż mi pan takiego, coby wskórał.

— A ot, masz szanowny pan takiego Połanieckiego: ten na Domu komisowo-handlowym zrobił wcale duży majątek i co ma, to w gotowiźnie, tak, że jutro mógłby wszystko na stół położyć. Sam on szanownemu panu nie zaprzeczy, że rady moje często były mu przydatne, ale jednak co zrobił, to zrobił przez handel — głównie zbożem.



— Proszę! proszę! — rzekł pan Zawilowski, patrząc na Polanieckiego i wytrzeszczając trochę ze zdziwienia oczy — naprawdę zrobił majątek? Proszę... Jeśli z prawdziwych Polanieckich — to dobra rodzina.

— A tamten, brunet, krępy — to malarz Świrski.

— To wiem, bom go za granicą widywał. I Świrscy, panie, w piecach nie palili... Ale on może sobie tylko wymalował pieniądze, bo przecie chyba ich nie zrobił?

— Licha tam, nie zrobił! — rzekł poufałym tonem Maszko. — Niejeden gruby majątek podolski tyle nie daje, ile jemu akwarele.

— Co takiego?

— Obrazy, wodną farbą...

— Proszę! nawet nie olejne!... I ten także?... Ha! to może i mój krewniak dorobi się na wierszach... Niech pisze, niech pisze! Ja mu tego nie będę brał za złe... Pan Zygmunt był szlachcic i pisywał — i to, panie, nie od parady. Pan Adam był także szlachcic — a głośno o nim — głośniej, niż o tym trzecim furfancie, co to się bawił w demokrację... Jakże mu tam? Mniejsza z tem! Mówisz pan, że się czasy zmieniają? Hm, proszę!... Niech się tam zmieniają, byle z pomocą bożą, na lepsze.

— Główna rzecz, — rzekł Maszko — by nie

więzić ni zdolności w głowach, ni kapitalów w kasach, bo kto tak czyni, ten wprost grzeszy przeciw społeczeństwu.

— A, to za pozwoleniem! Jakże to pan rozumiesz? To mi nie wolno zamknąć na klucz tego, co moje, tylko mam zostawić szufladę otworem dla złodziei?

Maszko uśmiechnął się z odcieniem wyższości, i położywszy rękę na poręczu fotelu, rzekł:

— Nie o to chodzi, szanowny panie.

I następnie zaczął wykladać panu Zawilowskiemu zasady ekonomii politycznej, których stary szlachcic słuchał, kiwając głową i powtarzając od czasu do czasu: «Proszę! to coś nowego! — ale ja i bez tego rady sobie dawał!»

Pani Broniczowa zaś wodziła rozrzewnionemi oczyma za parą narzeczonych, a jednocześnie opowiadała panu Pławickiemu (który znów wodził niemniej rozrzewnionemi oczyma za panią Osnowską) swoje lata młodości, pożycie z Teodorem i nieszczęście, jakie ich spotkało z powodu przedterminowego przyjścia na świat jedyne go ich potomka. Pan Pławicki słuchał z roztargnieniem, lecz ona w końcu, wzruszywszy się własnym opowiadaniem, mówiła nieco drżącym głosem:

— Tak więc cała moja miłość, nadzieja i wiara w Linetce! Pan to zrozumie, bo pan ma

także córkę! A co do Lola, niech pan pomyśli, jakim błogosławieństwem byłoby to dziecko, gdyby żyło.

— Ogromnie wzruszające! ogromnie wzruszające! — przerwał pan Pławicki.

— O, tak! — mówiła dalej pani Broniczowa — o tak! I to była tem większa strata, że to była ostatnia nadzieja! Mój mąż był człowiek w wieku — i mogę rzec, że był dla mnie najlepszym opiekunem, ale po tem nieszczęściu — tylko opiekunem.

— Tu go przestaję rozumieć — rzekł pan Pławicki. — He! he! zupełnie go nie rozumiem!...

I otworzywszy usta, spojrzal figlarnie na panią Broniczową, ta zaś uderzyła go zlekka wachlarzem i rzekła:

— Nieznośni są ci mężczyźni: dla nich nie ma nic świętego!

A Świrski pytał tymczasem Maryni:

— Co to za istny Perugino — ta blada osoba, z którą rozmawia mąż pani!

— To nasza znajoma, pani Maszkowa. Czy pan jej nie był przedstawiony?

— Owszem. Poznałem ją jeszcze wczoraj na pogrzebie, ale zapomniałem nazwiska. Wiem, że to żona tego pana, który rozmawia ze starym panem Zawilowskim. Czysty Vannucchi!... Ten sam

kwietyzm i trochę żółtawa. Ale ona ma bardzo piękne linie.

I popatrzywszy jeszcze chwilę, dodał:

— Twarz zgaszona, ale nadzwyczajne linie całej figury. Niby szczupła, niech jednak pani zauważy rysunek ramion i pleców.

Ale Marynia nie patrzyła na rysunek ramion i pleców pani Maszkowej, tylko na męża — i na twarzy jej odbił się nagle niepokój. Połaniecki pochylał się właśnie w tej chwili do pani Maszkowej i mówił do niej coś, czego Marynia nie mogła dosłyszeć, siedzieli bowiem z daleka, ale wydało się jej, że on spogląda na tę zgaszoną twarz i w te blade oczy takim wzrokiem, jakim w czasie ich podróży poślubnej spoglądał chwilami na nią. Ach! ona znalazła ten wzrok! I serce poczęło teraz bić w niej, jakby w poczuciu jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Natychmiast jednak powiedziała sobie: «To nie może być! to byłoby niegodne Stacha». Nie mogła się wszelako powstrzymać, żeby na nich nie patrzeć. Połaniecki mówił coś bardzo żywo, czego pani Maszkowa słuchała ze zwykłą sobie obojętnością. Marynia zaś pomyślała znowu: «Co mi się увидziało! — mówi żywo, jak on zawsze, ale nie więcej». Resztę jej wątpliwości rozproszył Świrski, który, czy to zauważył jej niepokój i badawczy wzrok, czy nie poznawszy

się istotnie na wyrazie twarzy Polanieckiego, rzekł:

— Z tem wszystkiem ona nic nie mówi. Mąż pani musi podtrzymywać rozmowę i wygląda, jakby się razem nudził i złościł.

Twarz Maryni rozpromieniła się w jednej chwili:

— O, to pan ma słuszność! Stach z pewnością trochę się nudzi, a on jak tylko się nudzi, to zaraz zły.

I wpadła w doskonały humor. Oddałaby teraz taką rywierzę brylantową, jaką pan Zawilowski podarował Castelce, by ten Stach zbliżył się w tej chwili do niej, i żeby mu mogła powiedzieć i usłyszeć od niego jakie dobre słowo. Jakoż w kilka minut później stało się zadość jej życzeniu, albowiem do pani Maszkowej przybliżył się pan Osnowski, Polaniecki zaś wstał, po drodze rzekł parę słów do pani Osnowskiej, rozmawiającej z Kopowskim, i wreszcie siadł przy żonie.

— Czy ty chcesz mi co powiedzieć? — spytał.

— Jakie to dziwne, Stachu! — rzekła Marynia — bo ja w tej chwili wołałam na ciebie, ale tylko w myśli, a tyś to jednak odczuł i przyszedłeś.

— A widzisz, jaki ze mnie mąż! — odpowiedział z uśmiechem. — Ale naprawdę, to przy-



czyna jest bardzo prosta: zauważyłem, że na mnie patrzysz, zląkłem się, czy ci co nie jest, i przyszedłem.

— Ja patrzę, bo — bo mi tęskno.

— A ja przychodzę, bo mi tęskno. Jak ty się czujesz? Powiedz szczerze; może chciałabyś do domu?

— Nie, Stachu, doskonale mi jest, jak cię kocham. Mówiliśmy z panem Świrskim o pani Maszkowej, i bawilam się doskonale.

— Domyślam się, żeście ją obmawiali. Ten oto artysta sam o sobie mówi, że ma zły język.

— Przeciwnie — odpowiedział Świrski. — Tym razem podziwiałem tylko jej figurę. Na zły język może przyjść kolej później.

— O tak, — rzekł Polaniecki — pani Osnowska mówi, że ona ma właśnie niedobrą figurę, i to jest dowód, że ma dobrą. Ale! Maryelna, powiem ci coś o pani Osnowskiej.

Tu pochyliwszy się do żony, rzekł po cichu:

— Wiesz, co po drodze słyszałem z ust Korpowskiego, idąc tu do ciebie?

— Co? coś zabawnego?

— Jak kto uważa: słyszałem, jak mówił do pani Anety: «ty».

— Stachu!

— Jak ciebie kocham! Powiedział jej: «Tyś zawsze taka!»

— Może cytował jakie cudze słowa.

— Nie wiem! Może, ale może i nie. Oni się przecież niegdyś podobno kochali.

— Fe! wstydź się!

— Powiedz to im — a raczej pani Anecie.

Marynia, która wiedziała doskonale, że prze-niewierstwo istnieje, ale uważając je raczej za jakąś książkową francuską teorię, ani się spodziewała, by je można było napotkać na każdym kroku i w praktyce, poczęła teraz spoglądać na panią Anetę ze zdziwieniem, a przytem z taką ogromną ciekawością, z jaką kobiety ucziwe spoglądają na te, które miały odwagę zejść z gościńca na boczne ścieżki. Miała jednak zbyt prawą naturę, by uwierzyć od razu w zło — i nie chciało się jej jakoś w głowie pomieścić, żeby mogło coś być naprawdę między tą parą, choćby ze względu na niesłychaną głupotę Kopowskiego. Zauważyła wszelako, że rozmawiają z sobą bardzo żywo.

A oni, siedząc nieco zasunięci między wielki porcelanowy wazon a fortepian, nietylko rozmawiali, ale klócili się od kwadransa.

Po przejściu Polanieckiego, pani Aneta rzekła z pewnym niepokojem:

— Boję się, czy czego nie dosłyszał. Ty nigdy nie uważasz.

— Tak! zawsze moja wina! A kto ciągle powtarza: bądź ostrożna!

I rzeczywiście, pod tym względem oboje byli siebie warci, on bowiem nie umiał nic przewidzieć z powodu swej głupoty, ona zaś była nieostrożna aż do zuchwalstwa. Dwie już osoby wiedziały ich tajemnicę; inne mogły ją już odgadywać, i trzeba było całego zaślepienia Osnowskiego, żeby się niczego nie domyślać. Ale ona właśnie na to liczyła.

Lecz tymczasem Kopowski spojrział na Polanieckiego i rzekł:

— Nic nie słyszał.

Poczem wrócił do zaczętej rozmowy, ale tym razem począł mówić ciszej i po francusku:

— Bo, żebyś mnie kochała, tobyś była inna, ale skoro mnie nie kochasz, to cóż ci to mogło szkodzić?

To rzekłszy, zwrócił na nią swoje cudne, bezmyślne oczy, a ona odpowiedziała z niecierpliwością:

— Kocham, czy nie kocham, a z Castelką nigdy! rozumiesz? nigdy! Raczej wolalabym z każdą inną! — choć, gdybyś ty naprawdę mnie kochał, tobyś o małżeństwie nie myślał.

— Jaby nie myślał, żebyś była inna.

— Patientez!

— Tak! do śmierci? Gdybym się był z Castelką ożenił, tobyśmy właśnie byli blisko.

— Nigdy! powtarzam ci!

— No, ale dlaczego?

— Tybyś tego nie zrozumiał. Zresztą Castelka jest narzeczona, i szkoda czasu o tem mówić.

— Samaś mi kazala udawać, że się o nią staram, a teraz mi robisz wyrzuty. Ja z początku o niczem nie myślałem, ale później podobala mi się — i tego się nie wypieram; ona się wszystkim podoba, a prócz tego to dobra partya.

Pani Osnowska poczęła targać w palcach chusteczkę.

— I ty mi śmiesz w oczy mówić, że ona ci się podobala, więc nareszcie: czy ja, czy ona?

— Ty, ale się z tobą przecie nie mogę ożenić, a z nią mogłem, bom to widział doskonale, że jej się też podobałem.

— Gdybyś lepiej rozumiał kobiety, tobyś się cieszył z tego, że do małżeństwa nie dopuścila. Ty jej nie znasz. Ona jest cała jak patyk, a przytem ma zły charakter. Czy i tego nie rozumiesz, że ci kazala starać się o nią, przez wzgląd na ludzi i na Józia. Inaczej, czemuś mógł usprawiedliwić codzienne prawie bywanie?

— Jabym rozumiał, gdybyś była inna.

— Nie przeszkadzaj mi. Widzisz, że wszystko tak urządziłam, żeby twój portret nie był skończony, i żebyś mógł przyjechać do Przytułowa. Potem przyjedzie tam Stefcia Ratkowska, krewna daleka Józia. Rozumiesz? Musisz udawać, że ci się podoba, a ja w Józia wmówię, co chcę. W ten sposób będziesz mógł zostać w Przytułowie. Do panny Ratkowskiej już pisałam. Jest nieladna, ale miła.

— Ciągłe udawać, i za to nie!

— Chciałabym ci powiedzieć: to sobie nie przyjeżdżaj.

— Anetko!

— Więc bądź cierpliwy. Nie mogę się na ciebie długo gniewać. Ale teraz już idź sobie. Idź, zabaw panią Maszkową.

I po chwili pani Osnowska została sama. Oczy jej odprowadzały przez minutę Kopowskiego, z resztkami gniewu, ale zarazem z pewną czułością. W białym krawacie, przy swej smagłej cerze, był tak zabójczo piękny, że nie mogła mu się dosyć napatrzeć. Lineta była już narzeczoną innego, a jej jeszcze wydała się nieznośną myśl, że ta jej codzienna rywalka mogła go nie tylko pojąć, jako męża, ale nawet jako kochanka. Pani Aneta, mówiąc Kopowskiemu, że zgodziłaby się dla niego raczej na każdą inną, niż na Castelkę, mówiła szczerą prawdę.



Była to dla niej kwestya zarazem ogromnej słabości dla tego głupiego Endymiona i kwestya miłości własnej. Nie zgadzały się na to wprost jej nerwy. Pewne zamięłowania estetyczne, które sama uważała za wzniosłe i płynące z greckiej natury, a które w gruncie rzeczy były płaskie, zastępowały w niej moralność i sumienie. Z powodu tych zamięłowań zostawała pod nieprze-partym urokiem Kopowskiego, ale mając tylko zapalną głowę, a zimny, jak u ryby, temperament, wołała, jak to intuicyjnie odgadł Zawilowski, igraszkę ze złem, niż samo zło. Swoją drogą, trzymając się zasady: «Jeśli nie ja, to nikt inny!» — byłaby gotowa posunąć się do ostateczności, by nie dopuścić małżeństwa Kopowskiego z Linetą, tem bardziej, że spostrzegła, iż Lineta, mimo wszystkich swoich «powiedzeń» o Kopowskim, mimo ironii, z jaką się o nim odzywała, i żartów z niego, jest także pod urokiem jego wyjątkowej urody, że te wszystkie żarty są tylko drażnieniem się, w którym tkwi pociąg, i że wogóle upodobania jej własne i upodobania Linety są jednakowe. Nie spostrzegła natomiast, że z tego powodu na dnie duszy ma rodzaj pogardy dla Linety.

Chciała ją przedewszystkiem zwyciężyć, i przez Zawilowskiego udało się jej to znakomicie. Wiedziała, że dziewczyna przez samą próżność nie

oprze się jej wmawianiu i hołdom człowieka o rozgłośnem imieniu. W ten sposób zachowała dla siebie Kopowskiego, a nadto wyprawila sobie pyszne widowisko, na jakie zawsze z chciwością patrzą wszystkie kobiety, żadne bardziej wrażeń, niż uczuć. Gdyby przytem ów sławny Zawilowski, gdy mu żona z czasem spowszednieje, chciał sobie gdzieindziej szukać Beatryczy — to możeby ją znalazł... Ludziom, którzy mają moc przekazać pamięci ludzkiej i uwielbieniu wieków kochane imię, mało się czego odmawia. Tych zamiarów na przyszłość pani Aneta nie określała dotąd wyraźnie, miała jednak jakby mgliste poczucie, że wówczas tryumf jej byłby jeszcze zupełniejszy.

Tryumfowała jednak już i teraz, albowiem wszystko poszło podług jej woli. Gniewał ją tylko Kopowski. Sądziła, że on jest niemal jej rzeczą, tymczasem spostrzegła, że, o ile był zdolny do wyrozumowania czegośkolwiek, wyrozumował sobie, że od przybytku głowa nie boli, i że Aneta mogłaby nie przeszkadzać Linecie. Drażniło ją to tak mocno, że chwilami myślała, czemuby mu za to dokuczyć; tymczasem rada była, że Lineta zdawała się być naprawdę zakochana duszą i sercem w swoim Zawilowskim, co dla Kopowskiego było zarazem i niezrozumiale i przykre.

Myśli te przelatywały jej teraz, jak błyskawica, przez głowę, i przeleciały wszystkie przez krótką chwilę samotności. Przerwało je wreszcie podanie kolacyi. Osnowski, który chciał, by żonę otaczało takie powszechne uwielbienie, jakim on ją otaczał, a któremu wydawało się przytem nader trafnem to, co mówił Zawilowskiemu o pożyciu małżeńskim, miał nieszczęśliwą myśl powtórzyć znów przy pierwszym toaście życzenie, by Zawilowskiemu było tak dobrze z Linetą, jak jemu z Anetą. Na to oczy Zawilowskiego i Polanieckiego zwróciły się mimowoli na piękną panią, która spojrziała bystro na Polanieckiego, i wątpliwości obojga pierzchły w jednej chwili, to jest ona nabrała zupełnej pewności, że Polaniecki ich słyszał, on zaś, że Kopowski nie cytował obcych słów, ale mówił «ty» wprost do niej. Pani Aneta odgadła nawet, iż Polaniecki musiał mówić o tem z Marynią, widziała bowiem, jak w chwilę po jego przejściu, oboje, rozmawiając, spoglądali czas jakiś na nią z wielką ciekawością. Ta myśl napelniła ją gniewem, chęcią zemsty i dystrakcją, tak, że bez żadnej uwagi słuchała dalszych toastów, które wznosił jej mąż, pan Zawilowski i pan Plawicki, a w końcu Bigiel.

Lecz po kolacyi przyszło jej nagle do głowy, by urządzić «dancing-party» — i «Józio» — po-

sluszny, jak zawsze, na każde skinienie, a przytem rozochocony po kolacyi, poparł gorąco tę myśl. Marynia nie mogła tańczyć, ale było prócz niej pięć młodych pań: panna Lineta, pani Osnowska, pani Bigielowa, pani Maszkowa i panna Zawilowska. Ta ostatnia oświadczyła wprawdzie, że także nie tańczy, ale ponieważ i tak mówiono o niej, że ona nie tańczy, nie mówi, nie je i nie pije, więc odmowa jej nie popsula ochoty. Osnowski, który był w rozkosznem usposobieniu, oświadczył przytem, że «trzeba, aby Ignas mógł wziąć w ramiona Linetkę, bo pewno się dotąd nie ośmielił».

Pokazało się jednak, że Zawilowski nie był w możności skorzystania z dobrych chęci pana Osnowskiego, albowiem nigdy w życiu nie tańczył i nie miał o tem najmniejszego pojęcia, co panią Broniczową i pannę Linetę nietylko zdziwiło, ale i cokolwiek dotknęło. Natomiast Kopowski posiadał tę sztukę w wysokim stopniu, on więc rozpoczął tańce z panną Linetą, jako bohaterką wieczoru. Tworzyli razem śliczną parę, i oczy mimowoli zwracały się za nimi. Zawilowski musiał patrzeć, jak jej złota główka pochyła się ku ramieniu Kopowskiego, jak piersi ich są blisko — i jak oboje, wirując w takt Bigielowego walca, łączą się w harmonii ruchów, zlewając się niejako w jeden ład i w jedną ca-

łość. I patrząc na to, był zły, rozumiał bowiem, że jest coś, czego on nie umie i co będzie łączyło Linetę z innymi, a rozłączało z nim. Na dobitkę mówiono koło niego o urodzie tańczącej pary, a siedzący obok Świrski rzekł:

— Co to za śliczny pan! Gdyby istnieli hurysowie, tak jak istnieją huryski, to on mógłby być huryssem w damskim rajach Mahometa.

Oni zaś walcowali długo, i była w tych tonach walca, a zarazem w ich poruszeniach, jakby jakaś upajająca i upojona omdlałość, co jeszcze bardziej drażniło Zawilowskiego, przypomniał sobie bowiem równie cyniczny, jak prawdziwy, wiersz Byrona o walcu. Wreszcie począł sobie mówić z zupełną niecierpliwością: «Kiedyż ten osieł ją opuści!» Bał się także, by mu się nie zmęczyła.

«Osieł» puścił ją wreszcie na drugim końcu salonu i wziął zaraz panią Osnowską. Lecz Lineta przybiegła do narzeczonego i, siadłszy przy nim, rzekła:

— On dobrze tańczy, ale lubi się z tem popisywać, bo zresztą nie ma z czem innem. Za długo mnie trzymał. Zdyszalam się trochę, i serce mi bije... Chciałabym, aby pan przyłożył rękę i zobaczył, jak bije... Ale nie wypada! Jakie to dziwne! bo przecie to pana własność...



— Moja!... — rzekł Zawilowski, wyciągając ku niej rękę. — Linetko, nie mów mi dziś «pan».

— Twoja własność — odszepnęła.

I nie bronila mu dłoni, opuściła ją tylko trochę wzdłuż sukni, tak, aby ludzie mniej widzieli.

— Zazdrościłem mu — rzekł Zawilowski, ścisnąc jej palce.

— Czy chcesz, żebym więcej dziś nie tańczyła? Ja lubię, ale wolę być przy tobie...

— Moja uwielbiona!

— Ja jestem głupia, światowa dziewczyna, ale ja chcę być ciebie warta. Widzisz, ja bardzo lubię muzykę... nawet walce, nawet polki. Tak to na mnie dziwnie działa... Jak ten pan Bigiel ładnie gra!... Ja przecie wiem, że są rzeczy wyższe od walców. Potrzymaj mi chusteczkę i puść na chwilę rękę. To twoja ręka, ale muszę poprawić włosy. Czasem potańczyć, to przecie nic złego? — prawda? Ale jeśli ty nie będziesz sobie życzył — to nie będę, bo ze mnie pokorne stworzenie. Nauczę się czytać w twoich oczach i potem będę jak woda, która odbija i chmury i pogodę. Tak mi przy tobie dobrze!... Patrz, jak tamci doskonale tańczą!

Zawilowskiemu nie starczyło słów: mógł tylko w jeden sposób okazać, co czuje dla niej, to jest klęknąć przed nią. Ale ona tymczasem ukazy-

wała mu Polanieckiego, tańczącego z panią Maszkową, i poczęła ich szczerze podziwiać:

— Doprawdy, że on lepiej tańczy od pana Kopowskiego—mówiła z błyszczącymi oczyma.— I ona, jaka zgrabna! O! chciałabym choć raz z nim zatańczyć... jeśli pozwolisz.

Zawilowski, w którym Polaniecki nie wzbudzał najmniejszej zazdrości, odrzekł:

— Mój skarbie, ile zechcesz. Sam ci go zaraz przyślę.

— Ach, i jak doskonale tańczą, jak doskonale! I ten walc, to jakby jakiś miły dreszcz. Oni płyną, nie tańczą.

Tegoż zdania była i Marynia, która, wodząc oczyma za tańczącą parą, doznawała jeszcze większego uczucia przykrości, niż przed chwilą Zawilowski, albowiem wydało jej się kilkakrotnie, że Polaniecki spogląda znów na panią Maszkową takim wzrokiem, jakim spoglądał na nią wówczas, gdy Świrski uczynił przypuszczenie, że albo się nudzi, albo jest zły. Tylko teraz przypuszczenie takie byłoby już niemożliwe. Chwilami oboje tańczący przesuwali się tuż koło Maryni, i wówczas widziała doskonale, jak jego ręka silnie obejmuje stan pani Maszkowej, jak jego oddech oblewa jej szyję, jak rozdymają mu się nozdrza, a spojrzenia ślizgają się po obnażonym gorsie. Mogło to być niewidoczne dla

wszystkich innych, ale nie dla Maryni, która umiała czytać w jego twarzy, jak w książce. I nagle światło lamp zmierzchno w jej oczach. Zrozumiała, że co innego jest nie być szczęśliwą, a co innego byłoby być nieszczęśliwą. Trwało to krótko, tak krótko, jak jeden takt walca, lub jak minuta, w której serce ściska się i przestaje bić, ale starczyło na przeczucie, że życie w przyszłości mogłoby się zupełnie poplątać, a dzisiejsza miłość zmienić się w gorzki i pogardliwy żal. I przeczucie to napelniło ją przeżeniem. Uchyliła się na chwilę przed nią jakby zasłona, z poza której ukazała się niespodzianie cała nędza i lichota natur ludzkich, cały szych życia. Nic się jeszcze nie stało, nie zupełnie, tylko przyszło na panią Polaniecką widzenie, że może nadejść czas, w którym ufność jej do męża może rozwiać się, jak dym.

Ale próbowała się jeszcze bronić zwątpieniom. Pragnęła w siebie wmówić, że on jest pod wrażeniem tańca, nie tancerki. Wolala nie wierzyć oczom. Zdejmował ją wstyd za tego «Stacha», z którego dotychczas była tak dumna, i walczyła ze wszystkich sił z tem uczuciem, rozumiejąc, że chodzi o rzeczy ogromnie ważne, i że z tej malej rzeczy, z tej jego winy, dotąd prawie żadnej, mogą wypłynąć następstwa, które odbiją się na całej ich przyszłości.

A wtem ozwał się koło niej żartobliwy głosik pani Osnowskiej:

— Ach, Maryniu! twojego męża i panią Maszkową chyba natura umyślnie stworzyła, żeby z sobą walcowali. Co to za para!

— Tak! — odpowiedziała z wysileniem pani Polaniecka.

Pani Aneta zaś szczebiotała dalej:

— Doskonale do siebie przystają. Doprawdy, że na twojem miejscu byłabym trochę zazdrosna... A ty? jesteś zazdrosna? Nie? Ja jestem szczerą i przyznaję się otwarcie, że tak. Przynajmniej niegdyś tak było. Och! wiem przecie, że Józio mnie kocha, ale ci panowie, nawet kochając, miewają swoje małe fantazyje. Ich o to głowa ani trochę nie boli, a że nas trochę boli serce — to tego nie widzą, lub nie chcą widzieć. Najlepsi nie są inni. Józio? — tak! wzorowy mąż — a czy myślisz, że ja go nie znam? Teraz już przyzwyczałam się, i często śmiech mnie zbiera, bo oni przytem tacy niezgrabni!... Ja natomiast wiem, jak tylko Józio poczyna się balamucić — i wiesz, po czem to poznaję?

Marynia wciąż patrzyła na męża, który przez ten czas przestał tańczyć z panią Maszkową, a wziął pannę Linetę. I nagle doznała wielkiej ulgi, wydało jej się bowiem, że Stach tańczy z panną Linetą z tym samym wyrazem twarzy.

Podejrzenia jej zaczęły blednąć, natomiast pomyślała, że jeśli posądzała go niesłusznie, to sama jest niegodziwą. Nigdy nie widziała go przedtem tańczącego, i przyszło jej do głowy, że może on zawsze tak tańczy.

Tymczasem pani Osnowska powtórzyła:

— Wiesz, po czem poznaję, gdy Józio poczyna się bałamucić?

— Po czem? — spytała raźniej Marynia.

— Nauczę cię tego sposobu. Otóż, jak tylko sam ma nieczyste sumienie, natychmiast podejrzewa innych i udziela mi tych swoich spostrzeżeń, żeby odwrócić uwagę od siebie. Poczciwy Józisko! To ich metoda. Jak oni wszyscy kłamią, nawet najlepsi!

To rzekłszy, odeszła z przekonaniem, że na towarzyskiej szachownicy uczyniła nader zręczne posunięcie. I było ono poniekąd zręczne. W głowie Maryni powstał jakby chaos. Nie wiedziała, co wreszcie ma o wszystkim myśleć. Ogarnęło ją też wielkie zmęczenie fizyczne. «Ja jestem niezdrowa,— rzekła sobie — rozdrażniona, i może mi się Bóg wie co wydawać». I poczucie zmęczenia powiększało się w niej z każdą chwilą. Cały ów wieczór przedstawiał jej się teraz jakoś gorączkowo. Mąż jej mówił o pani Osnowskiej, jak o kobiecie wiarołomnej, ona mówiła to samo o wszystkich mężach; on patrzył



nieuczciwemi oczyma na panią Maszkową, a pani Aneta mówiła do Kopowskiego «ty». Do tego mieszały się tańczące pary, jednostajny takt walca, głowy zakochanych — i wreszcie burza, która ozwała się na dworze. Co za mieszanina wrażeń, co za fantasmagorya! «Ja jestem niezdrowa» — powtórzyła w myśli Marynia. Ale, czuła zarazem, że ją opuszcza spokojność, i że to był zły wieczór jej życia. Chciało jej się ogromnie do domu, ale, jak na złość, na dworze była ulewa. «Do domu! do domu!» Gdyby tak jeszcze Stach powiedział jakie dobre i serdeczne słowo! Niechby nie mówił ani o pani Osnowskiej, ani o pani Maszkowej, tylko o czemś, co ich samych dotyczy, a jest im drogie.

«Ach, jaka ja zmęczona!»

Tymczasem Połaniecki zbliżył się do niej, i na widok jej biednej bladej twarzy ozwało się w nim współczucie dla niej, na jakie zresztą łatwo zdobywało się jego dobre z natury serce.

— Moje biedactwo, — rzekł — czas na ciebie do łóżka; niech tylko ulewa trochę przejdzie. Nie boisz się grzmotów?

— Nie; siądź przy mnie.

— To letnia burza, zaraz minie. Jakaś ty senna!

— Możem niepotrzebnie przyjechała. Mnie bardzo potrzeba spokoju, Stachu.

On sumienie miał niezbyt czyste i był zły na siebie. Ani mu przez myśl nie przyszło, by to, co ona mówi o spokoju, mogło stosować się do niego, do jego pokus i postępowania z panią Maszkową, ale uczuł nagle, że gdyby się czegoś domyśliła, spokój jej byłby z jego winy zabity raz na zawsze — i — ponieważ nie był człowiekiem zepsutym, ogarnęła go bojaźń i skrucha.

— Do licha ze wszystkimi tańcami! — rzekł. — Będę siedział w domu i pilnował swojego dobra.

I mówił to tak szczerze, że jej, która go знаła doskonale, nie mógł przejść przez głowę ani cień zwątpienia. To też ogarnęło ją uczucie ogromnej ulgi.

— Jak ty jesteś przy mnie, — rzekła — to ja zaraz mniej się czuję zmęczona. Przed chwilą było mi jakoś niedobrze. Aneta siedziała kolo mnie, ale cóż ja ją mogę obchodzić! Gdy człowiek jest niezdrów, potrzebuje kolo siebie kogoś swojego i pewnego. Może mnie wylajesz za to, co ci powiem, bo to dziwne, żeby takie rzeczy mówić na wieczorze, u obcych, i tak dawno po ślubie, więc sama rozumiem, że trochę dziwaczą, ale mi ciebie naprawdę potrzeba, bo — ja cię bardzo kocham.

— I ja ciebie kocham, drogie stworzenie — odpowiedział Polaniecki, który w tej chwili miał

uczucie, że jedynie miłość do niej może być w nim uczciwą i spokojną.

Tymczasem ulewa zmniejszyła się, tylko błyskało jeszcze tak, że okna willi stawały się co chwila jasno-sine. Bigiel, który był na zakończenie wieczoru odegrał preludjum Szopenowskie, rozmawiał teraz z panną Linetą i Zawilowskim o muzyce i, zastanowiwszy się dobrze nad swoją ideą, rzekł:

— To tam Bukacki wymyślał rozmaite podziały i typy kobiet, a ja mam swoje kryterium muzyczne. Są kobiety, które lubią muzykę duszą, a są takie, które ją lubią skórą — i takichbym się bał.

W kwadrans później, krótka letnia burza przeszła i wypogodziło się zupełnie; goście państwa Osnowskich poczęli zbierać się do domów. Tylko Zawilowski pozostał dłużej od innych, by ostatni mógł powiedzieć pannie Linecie: Dobranoc!

Polaniecki, z obawy o Marynię, kazał powozowi jechać noga za nogą. W jej zmęczonej głowie przesuwiał się ciągle obraz męża, tańczącego z panią Maszkową, a w uszach brzmiały słowa pani Osnowskiej: «Ach, jak oni kłamią, nawet najlepsi!» Ale Polaniecki otoczył ją tymczasem ramieniem i trzymał opartą o siebie przez całą drogę — więc stopniowo niepokój jej

począł tajać. Chciało jej się z całej duszy zadać mu takie jakieś pytanie, z którego mógłby się domyślić jej obaw i uspokoić ją. Ale po chwili myślała: «Gdyby mnie nie kochał, nie okazywałby troskliwości. On prędzej mógłby być okrutny, niż udawać. Nie spytam go dziś o nic».

Połaniecki zaś, widocznie pod wpływem myśli, które snuł w głowie, i pod wpływem wrażenia, że ona jedna może być jego prawą miłością i prawdziwym szczęściem, pochylił się i pocałował z lekka jej twarz.

— Nie spytam go o nic i jutro — pomyślała Marynia, opierając głowę o jego ramię.

A po chwili jeszcze:

— Nigdy mu nic nie powiem.

I utrudzenie, zarazem duchowe i fizyczne, poczęło przemagać jej siły, tak, że nim dojechali do domu, oczy jej się przymknęły, i usnęła na ramieniu Połanieckiego.

Pani Broniczowa siedziała tymczasem w salonie, spoglądając ku szklanym drzwiom balkonu, na który narzeczeni wyszli na chwilę, by odetchnąć odświeżonem przez deszcz powietrzem i powiedzieć sobie bez świadków: Dobranoc! Po burzy zrobiła się przejaska noc, pachnąca mokrymi liśćmi, pełna gwiazd, jakby wykąpanych w dżdżu i uśmiechniętych przez

łzy. Oni stali czas jakiś w milczeniu, potem poczęli sobie mówić, że się z całej duszy kochają, a wreszcie Zawilowski wysunął rękę, na której polyskiwał pierścionek, i rzekł:

— Moja, bardzo kochana! Patrzę na ten pierścionek i nie mogę mu się napatrzyć. Dotychczas zdawało mi się, że to wszystko sen, i teraz dopiero śmiem myśleć, że ty będziesz moją prawdę.

A Lineta przyłożyła dłoń do jego ręki, tak aby dwa pierścionki były obok siebie, i odrzekła rozmarzonym głosem:

— Tak! Już niema dawnej Linety, tylko twoja narzeczona; już całe życie musimy do siebie należeć — i aż mi dziwnie, że w tych pierścionkach jest taka siła, jakby w nich było coś świętego.

Zawilowskiemu zalewało serce szczęście i spokojna słodycz.

— Bo — rzekł — w pierścionku jest dusza, która się oddaje, a wzamian bierze drugą duszę... I w taką złotą obietnicę wszczepia się wszystko, co w człowieku mówi: chcę, kocham i przyrzekam!..

Panna Lineta powtórzyła jak ciche echo:

— Chcę, kocham i przyrzekam...

Wówczas on objął ją i trzymał długo przy piersiach, a potem począł się z nią żegnać. Lecz



porwany siłą miłości i polotem własnej swej duszy, uczynił z tego pożegnania jakiś religijny akt czci i adoracyi.

Więc dawał dobranoc tym błogosławionym rękóm, które mu dały tyle szczęścia, i dobranoc sercu, które go pokochało, i dobranoc ustom, które wypowiedziały miłość, i dobranoc oczystym oczóm, przez które patrzała na niego wzajemność — a wreszcie dusza wyszła z niego i zmieniła się jakby w świetlisty krąg, kolo tej droższej nad świat i uwielbionej głowy...

— Dobranoc!...

Po chwili pani Broniczowa i panna Castelli zostały same w salonie.

— Zmęczyłaś mi się, dziecko? — spytała pani Broniczowa, patrząc na jakby zbudzoną ze snu twarz Linety.

A panna Castelli odrzekła:

— Ach, ciociu, wracam z gwiazd, a to taka daleka droga!

---

L.

Zawilowski mógł sobie powiedzieć, że i poetom przyświeca czasem szczęśliwa gwiazda. Od chwili zaręczyn z panną Castelli przychodziło mu wprawdzie często do głowy, że trzeba bę-

dzie teraz pomyśleć o środkach na urządzenie domu i opędzenie wydatków, tak ślubu, jak i wesela, ale, będąc przedewszystkiem zakochanym i nie mając wogóle jasnego pojęcia o podobnych rzeczach, przedstawiał sobie to wszystko tylko jak jakąś nową trudność życiową, którą należy przewyciężyć; zламаł zaś ich już tyle w życiu, że, ufając w swe siły, mniemał, że złamię i tę, ale nad sposobami dotychczas nie rozmyślał.

Natomiast rozmyślali za niego inni. Stary pan Zawilowski, w którym, obok całego uznania dla geniuszów, nic nie mogło zachwiać wiary, iż każdy poeta musi mieć w głowie: «fiu, fiu!» — wezwał Polanieckiego na osobną naradę i rzekł mu:

— Ja powiem otwarcie, że mi się ten chłopak spodobał, bo ojciec jego był z przeproszeniem wielki hultaj: nic, panie, tylko karty, kobiety i konie!... Doczekał się też za życia pokuty. A młody się w niego nie wdał — i nie tylko ujmy nazwisku nie przyniósł, ale chlubę. No, inni niebardzo mnie do tego przyzwyczaili, to też o nim, da Pan Bóg pożyć, nie zapomnę, ale i zaraz chciałbym dla niego coś zrobić, bo choć to daleki krewny, ale krewny i nazwisko to samo, a to grunt!

Na to Połaniecki odrzekł:

— Myśmy już o tem myśleli, tylko to trudna rzecz. Byle wspomnieć o pomocy, to mu ambicya tak bije do głowy, że najcierpliwszego może do złości doprowadzić.

— Proszę... Takaż to harda sztuka! — prze-rwał z widocznem zadowoleniem pan Zawilowski.

— Tak jest. On prowadzi księgi i korespondencyę w naszym Domu od niedawna, ale szczerześmy go pokochali, więc obaj ze współnikami sami zaofiarowaliśmy mu kredyt; powiedzieliśmy tak: «Weź kilka tysięcy rubli na wydatki i urządzenie domu, a oddasz nam w ciągu trzech lat z tego, co ci wplynie za książkę». Nie chciał. Powiedział nam, że ufa swojej narzeczonej, że jest pewny, iż ona zastosuje się do niego — i nie chciał. Osnowski miał też ochotę ofiarować mu pomoc, aleśmy go powstrzymali, wiedząc, że to na nic... To będzie trudna sprawa.

— Może też on coś ma?

— Ma i nie ma. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że mu po matce zostało kilkanaście tysięcy rubli, ale on z procentu utrzymuje ojca w domu dla obłąkanych i kapitał uważa za nienaruszalny. Że z niego nic nie weźmie, to pewna, bo, nim zaczął u nas urzędować, znosił taką biedę, że wprost głód marł, a nie ruszył

ani grosza. To taki charakter. I zrozumie szanowny pan, dlaczego go tak cenimy. On, zdaje się, coś teraz pisze i liczy, że z tego opędzi kosztta urzędzenia. Może być. Teraz jego nazwisko dużo znaczy.

— Gruszki na wierzbie! — rzekł pan Zawilowski. — Mówisz pan, że jego nazwisko dużo znaczy? — proszę!... Ale to gruszki na wierzbie!

— Niekoniecznie; tylko, że to nie przyjdzie prędko.

— To z wami robił ceremonie, boście mu obcy, ale ja krewny.

Polaniecki potrząsnął głową:

— My mu obcy, ale dawniejsi znajomi od pana, i znamy go lepiej.

Pan Zawilowski, nieprzywykły, żeby mu się ktokolwiek sprzeciwiał, począł ruszać swymi białymi wąsami i sapać z niezadowolenia. Pierwszy też raz w życiu przyszło mu biedzić się o to, czy ktoś, komu on chce dać pieniędzy, raczy je przyjąć. Razem go to dziwiło, podobało mu się i gniewało go. Przypomniawszy sobie teraz to, o czem Polanieckiemu nie wspominał, ile to razy płacił był weksle za ojca młodego człowieka — i jakie weksle! A oto jabłko padło tak daleko od jabłoni, że teraz był nowy i niespodziewany kłopot.

— No, — rzekł po chwili — może to Bóg mi-

Iosierny daje, że młodsze pokolenia tak się zmieniają, bo dyabłu do nich: ani przystap!...

Tu twarz rozjaśniła mu się nagle ogromnie poczciwą radością. Niewyczerpany optymizm, leżący na dnie jego duszy, znalazł realny dowód na swe usprawiedliwienie, napelnil mu serce wesołemi widzeniami.

— Zgryź-że go tu, panie dyable, — rzekł — kiedy to bestya jak z kamienia!... Zdolne szelmy! zawzięte w robocie! — i charaktery — ot co! charaktery!

Tu wytrzeszczył oczy i, kręcąc głową, usta złożył na znak podziwu, jak do gwizdania, a potem dodał:

— Proszę! i to w szlachecie! Dalibóg, takem się nie spodziewał.

— Zdaje się też, — rzekł Polaniecki — że nie będzie innej rady, tylko panna Castelli musi się do niego zastosować.

Lecz stary szlachec skrzywił się nagle:

— To niby się gada! hm! Zastosuje się, nie zastosuje? — lichy ją wie! Młoda, jak to młoda, może i gotowa na wszystko, ale kto zaręczy, na jak długo? A prócz tego jest tam ciotka i ten usłużny nieboszczyk, co to, jak panie huknie z pod ziemi, to i gadajże z nim!... Ja, dalibóg, cenię takich, co się dorobili majątku, ale, jak kto wylazł z folwarku, nie ze dworu, a udaje,



że mieszkał zawsze w pałacach, to mu się chce pałaców. I tak było ze starym Broniczem. Na próżności tam nie zbywało im obojgu, i w takiej szkole chowała się młoda. Nie, panie, tylko wygody i zbytek. Ignacy ich pod tym względem nie zna — i pan nie znasz. Taka, ot! (tu wskazał głową na córkę) poszłaby na poddasze, jakby raz dała słowo, ale tam, to może nie pójść łatwo.

— Ja ich nie znam — rzekł Połaniecki — i różnie o nich słyszałem, a przez życzliwość dla Ignasia chciałbym wiedzieć wreszcie, co o nich sądzić.

— Co o nich sądzić? Ja znam je dawniej, a też niebardzo wiem. A no! sądząc z tego, co gada sama Broniczowa — święte kobiety, panie, najzacniejsze!... I pobożne! — ho! za życiaby je kanonizować!... Ale to, widzisz pan, jest tak: są u nas kobiety, które Boga i przykazania wiary noszą w sercu, a są też i takie, które sobie z naszej katolickiej religii robią katolicki sport — i takie najgłośniej gadają i wyrastają, gdzie ich nie posiał. Ot, co jest!

— A, jaką pan ma słuszość! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki.

— Co? nie prawda? — spytał Zawilowski. — Ja się napatrzył różnym rzeczom w życiu... Ale wróćmy do materyi. Masz tedy pan jaki sposób, żeby ten żbik przyjął pomoc, czy nie masz?

— Trzeba będzie coś obmyślić, ale w tej chwili nic mi do głowy nie przychodzi.

Wtem panna Helena Zawilowska, która, zajęta wyszywaniem na kanwie, milczała do tej chwili, jakby nie słysząc rozmowy, podniosła nagle swe stalowe, zimne oczy i rzekła:

— Jest sposób bardzo prosty.

Stary szlachcic spojrział na nią:

— Ot i znalazła! Cóż to za taki prosty sposób?

— Niech papa złoży dostateczny kapitał dla ojca pana Ignacego.

— To lepiej było ci nie radzić. Już ja dosyć w życiu zrobił dla ojca pana Ignacego, choć go nie chciałem na oczy widzieć, a teraz chciałbym coś zrobić dla samego pana Ignacego.

— Tak, ale jeśli jego ojciec będzie miał zabezpieczony do śmierci procent, to on sam będzie mógł rozporządzać tem, co ma po matce.

— A jak mi Bóg miły, prawda! — rzekł ze zdumieniem pan Zawilowski. — Patrzże pan! Tośmy obaj napróżno głowy łamali, a ona znalazła! Jak mi Bóg miły, prawda!

— Pani ma zupełną słuszność — rzekł Polański.

I spojrział na nią z ciekawością, lecz ona już pochyliła swą obojętną i jakby przedwcześnie zwiędłą twarz nad robotą.

Wiadomość o takim obrocie sprawy ucieszyła

mocno panią Polaniecką i Bigielów, a przytem dała powód do rozmów o pannie Helenie Zawilowskiej. Niegdyś miała ona opinię panny zimnej i ceniącej nad wszystko formy; lecz opowiadano, że później przez ten chłód przedarło się do jej serca wielkie uczucie, które, zmieniawszy się w tragedye, zmieniło również i tę niegdyś światową istotę na kobietę dziwną, odebraną od ludzi, zamkniętą w sobie, zazdrosną o swój ból. Niektórzy wynosili jej wielką dobroczynność, ale jeśli istotnie była dobroczynną, to tak skrycie, że nikt nic dobrze nie wiedział. Trudno też było komukolwiek się do niej zbliżyć, gdyż obojętność jej zbyt była podobna do dumy. Mężczyźni utrzymywali, że w obejściu jej jest wprost coś pogardliwego, jakby nie mogła darować im, że żyją.

Zawilowski był w Przytułowie i wrócił dopiero w tydzień po rozmowie starego z Polanieckim, to jest wówczas, gdy szlachcic złożył już na imię jego ojca dwa razy większy kapitał, niż ten, który służył dotychczas na opłatę domu zdrowia. Dowiedziawszy się o tem, polecał dziękować i bronić się przed przyjęciem, lecz stary, czując pewny grunt pod nogami, zburczał go z miejsca:

— A ty co masz tu do gadania, — rzekł — kiedy ja dla ciebie nic nie zrobił?... Tobie nic

nie dałem, więc nie masz prawa przyjmować, albo nie przyjmować, a że mi się spodobało przyjść z pomocą choremu krewnemu, to każdemu wolno.

I rzeczywiście nie było na to nic do odpowiedzenia, więc skończyło się na uściskach i wzruszeniu, w którym obaj ci, niedawno obcy sobie ludzie poczuli się naprawdę krewnymi.

Nawet i panna Helena okazywała «panu Ignasiowi» życzliwość, co zaś do starego pana Zawilowskiego, ten, bolejąc skrycie nad tem, że nie ma syna, pokochał młodego człowieka serdecznie, i gdy w tydzień później pani Broniczowa, wpadłszy dla jakiegoś sprawunku do Warszawy, przyszła dowiedzieć się, co słyhać z pedogą, a zarazem, mówiąc o młodej parze, powtórzyła kilkakrotnie na większą chwałę «Niteczki», że wychodzi za człowieka bez majątku, staruszek zniecierpliwil się i zawołał:

— Co mi tam pani mówisz! Bóg to raczy wiedzieć, kto robi lepszą partyę nawet pod względem majątkowym, nie mówiąc już o innych.

I pani Broniczowa, która zresztą zносиła wszystko od starego weredyka, zniosła gładko nawet wzmiankę o «innych względach». Natomiast w pół godziny później rozpuściła dowoli skrzydła wyobraźni. Odwiedziwszy po drodze Połanieckich, opowiedziała im, że pan Zawilo-

wski formalnie przyrzekł jej uczynić ze swoich majątków pruskich ordynację dla «tego kochanego Ignasia». Sama wyznała również, że pokochała «tego kochanego Ignasia» tak niepomowanym macierzyńskim uczuciem, iż chwilami zastępował w jej sercu Lola. W końcu wyraziła niezachwianą pewność, iż Teodor pokochał go nie mniej od niej, i że dla obojga pamięć Lola stała się przez to mniej bolesną.

Zawilowski nie wiedział ani o tem, że w sercu pani Broniczowej zastąpił Lola, ani o wynalezionej przez nią ordynacji. Spostrzegł jednak, iż jego stosunek do ludzi poczyną się zmieniać. Wiadomość o owej ordynacji musiała się rozjeść z piorunującą szybkością po mieście, albowiem znajomi witali go jakoś inaczej, a nawet koledzy biurowi, ludzie uczciwi, poczęli z nim być mniej poufali. Wróciwszy z Przytułowa, musiał pójść w odwiedziny do wszystkich, którzy byli obecni na wieczorze zaręczynowym u Osnowskich, i szybkość, z jaką mu oddał wizytę taki naprzykład Maszko, świadczyła również o tej zmianie stosunku. Maszko w pierwszych chwilach znajomości traktował go trochę z góry. Teraz nie przestał wprawdzie być protekcyjnym, ale ileż było życzliwej i przyjacielskiej poufalości w jego obejściu, jaka wyrozumiałość — nawet dla poezyi! Nie! Maszko



nie nie miał przeciw poezyi; wolałby może, żeby wiersze Zawilowskiego były w duchu odpowiedniejszym obozowi prawdziwie dobrze myślących ludzi, ale wogóle na istnienie poezyi się zgadzał, a nawet ją pochwalał. Łaskawe jego usposobienie i dla poezyi i dla poety widać było w jego spojrzeniu, w jego uśmiechu, w powtarzaniu co chwila: «Ale owszem, owszem, ale bardzo!» Zawilowski, który był pod wielu względami naiwny, lecz przytem wyjątkowo inteligentny, zrozumiał jednak, że w tem wszystkim jest jakieś udawanie czegoś, i pomyślał:

— Dlaczego ten, niby rozumny człowiek, tak pozuje, że to widać?

I tego samego dnia poruszył to pytanie w rozmowie u Połanieckich, u nich bowiem poznał był Maszkę.

— Ja, gdybym pozował,— rzekł — starałbym się tak robić, żeby się na tem nie poznali.

— Ci, którzy pozują, — odpowiedział Połaniecki — liczą na to, że choć się ludzie na pozie poznają, w końcu przez samo lenistwo, lub brak odwagi cywilnej, zgodzą się na to, co poza ma wyrażać. To zresztą trudna rzecz. Czyś pan uważał, że kobiety, które się różują, tracą zwolna miarę w oku? Z pozowaniem jest tak samo. Najinteligentniejsi tracą miarę.

— Prawda,— odpowiedział Zawilowski — jak

również prawda i to, że ludziom można wszystko narzucić.

— Co do Maszki,— mówił dalej Polaniecki — wie przytem, że się żenisz z panną, która ucho-  
dzi za zamożną; wie, żeście się polubili ze sta-  
rym panem Zawilowskim, i może chciałby za  
pańską protekcyą zbliżyć się z nim. Maszko  
musi myśleć o przyszłości, bo mówiono mi, że  
sprawa o zwalenie testamentu, od której zależy  
jego los, nie stoi zbyt pomyślnie.

Jakoż tak było. Ów młody adwokat, wystę-  
pujący w obronie testamentu, okazywał aż nadto  
wiele zręczności, energii i oporu.

Lecz na tem skończyła się rozmowa o Maszce,  
albowiem pani Marynia zaczęła się wypytywać  
o Przytulów i jego mieszkańców, dla Zawilow-  
skiego zaś był to przedmiot niewyczerpany.  
W wyrazistem opowiadaniu ukazał się dwór  
przytulowski, z lipami przy drogach, dalej cie-  
nisty ogród, stawy, trzciny, olszyny i na widno-  
kręgu pas sosnowego lasu. Krzemień, który był  
już zbladł w pamięci Maryni, stanął przed nią  
teraz jak żywy, i w tem chwilowem odzyciu  
tęsknoty pomyślała, że kiedyś, kiedyś poprosi  
Stacha, by ją zawiózł choć do Wątorów, do tego  
kościółka, w którym ją chrzcili i w którym po-  
chowana była jej matka. Może w tej chwili

Krzemień przypomniał się i Polanieckiemu, albowiem, machnąwszy ręką, rzekł:

— To wszędzie na wsi tak samo. Pamiętam, co mawiał Bukacki, że on lubiłby namiętnie wieś, ale pod warunkiem, żeby w domu był doskonały kucharz, duża biblioteka, ładne i inteligentne kobiety — i żeby nie potrzebował dłużej tam siedzieć na rok, niż dwa dni. I ja go rozumiem.

— A jednak — rzekła Marynia — tak ci się chce mieć swój kawałek ziemi pod miastem?

— Żeby latem mieszkać u siebie, nie u Bigielów, jak musimy uczynić w tym roku.

— A we mnie, — rzekł Zawilowski — jak tylko jestem na wsi, odzywają się jakieś polne instynkta. Zresztą moja narzeczona nie lubi miasta, a to dla mnie dosyć.

— Linetka naprawdę nie lubi miasta? — spytała z zajęciem Marynia.

— Bo to urodzona artystka. Ja przecie także patrzę na naturę i odczuwam ją, ale ona pokazuje mi takie rzeczy, których sam nie umiałbym dostrzedz. Przed kilku dniami wybraliśmy się wszyscy do lasu, gdzie pokazywała mi na przykład paprocie w słońcu. To takie ładne! Nauczyła mnie także, że pnie sosen mają, zwłaszcza w wieczornem oświetleniu, ton fioletowy. Ona otwiera mi oczy na kolory, których przed-

tem nie widziałem, i jak jakaś wróżka, chodząc po lesie, pokazuje mi nowe światy.

Polaniecki pomyślał, że wszystko to może być dowodem arcyzmu, ale może być również objawem mody i tego wmawianego w siebie powszechnie zamilowania do malarstwa, a w niem do kolorytu, którem wojuje dziś byle panna, nie z miłości dla sztuki, ale dla popisu. Sam on nie zajmował się malarstwem, spostrzegł jednak, że dla światowych gąsek stało się ono w ostatnich czasach towarem, chętnie wystawianym na jarmarku próżności, albo, inaczej mówiąc, frazesem, mającym dowodzić artystycznej kultury i artystycznej duszy.

Ale zachował te myśli dla siebie, Zawilowski zaś mówił dalej:

— Ona przytem ogromnie lubi dzieci wiejskie! Mówi, że to takie doskonale modele i mniej spospolitowane, niż młode Włoszeta. Jak pogoda, cały dzień jesteśmy na świeżem powietrzu i opaliliśmy się oboje. Uczę się też grać w tenis i robię wielkie postępy. To się zdaje łatwo, a z początku idzie bardzo trudno. Pan Osnowski grywa zapalczywie, żeby nie utyć. Trudno wypowiedzieć, co to za dobry i delikatny człowiek.

Polaniecki, który za czasów swego pobytu w Belgii uprawiał tenis niemniej zapalczywie

od pana Osnowskiego, począł się teraz chęlić swem doświadczeniem i rzekł:

— Żeby tam był, pokazałbym wam, jak się gra w tennis.

— Mnie, tak! — odpowiedział Zawilowski — ale oni tam zresztą dobrze grają, zwłaszcza Kopowski.

— A, to pan Kopowski jest w Przytułowie? — spytał Polaniecki.

— Jest — odpowiedział Zawilowski.

I nagle obaj, spojrzawszy sobie w oczy, w jednej chwili odgadli, że obaj coś wiedzą — i umilkli. Nastąpiła chwila ciszy i nawet zakłopotania, albowiem pani Marynia zaczerwieniła się niespodzianie, a nie umiejąc tego ukryć, czerwieniła się coraz mocniej.

Zawilowski, który rozumiał dotąd, że jest wyłącznym posiadaczem tajemnicy, spostrzegł ze zdziwieniem jej rumieńce i zmieszal się również, następnie zaś, chcąc zakłopotanie zagadać, począł mówić pośpiesznie:

— Tak, Kopowski jest w Przytułowie. Pan Osnowski zaprosił go dlatego, że panna Lineta nie skończyła jego portretu, a później nie będzie na to czasu. Prócz tego, bawi tam krewna pana Osnowskiego, panna Ratkowska, i myślę, że Kopowski o nią się stara. To bardzo miła i cicha panienska. W sierpniu wyjeżdżamy wszyscy



do Scheveningen, bo te panie nie lubią Ostendy... Gdyby pan Zawilowski nie był przyszedł z taką serdeczną pomocą memu ojcu, ja nie byłbym mógł pojechać, ale teraz mam rozwiązane ręce...

To rzekłszy, począł mówić z Połanieckim o swem stanowisku w biurze, którego nie chciał porzucać. Prosił natomiast, by, ze względu na wyjątkowe okoliczności, mógł otrzymać kilkumiesięczny urlop. Poczem pożegnał się i wyszedł, albowiem pilno mu było do pisania listu do narzeczonej. Za parę dni miał znów jechać do Przytułowa, ale tymczasem pisywał, niekiedy nawet po dwa razy dziennie.

I przez drogę do swego mieszkania układał sobie słowa listu, wiedział bowiem, że panna Lineta będzie czytała go na wspólną z panią Broniczową, że obie będą szukały w nim nie tylko serca, ale skrzydeł, i że piękniejsze ustępy będą czytane pod sekretem pani Anecie, panu Osnowskiemu, a nawet pannie Ratkowskiej. Ale nie brał tego za złe swojej ukochanej «Niteczce» — owszem, był jej wdzięczny, że się nim chlubi, i dokładał wszystkich sił, by odpowiedzieć jej wysokiemu o nim wyobrażeniu. Nie gniewała go również myśl, że ludzie będą wiedzieli, jak ją kocha. «Niech wiedzą, że jest kochana tak, jak nikt w świecie!»

Obok tego, myślał teraz trochę i o Maryni.

Rumieńce jej wzruszyły go, widział w nich bowiem dowód przeczystej natury, która nietylko sama nie byłaby zdolna do złego, ale którą nawet zło cudze zawstydza, uraża i trwoży. I porównywając ją z Osnowską, zrozumiał, jaka jednak przepaść może dzielić kobiety, pozornie bliskie sobie przez położenie towarzyskie i poziom umysłowy.

Polaniecki zaś rzekł po wyjściu Zawilowskiego:

— Widziałaś, że i Zawilowski musiał czegoś dopatrzeć. Teraz nie mam już wątpliwości. Ślepy ten Osnowski! ślepy!

Pani Marynia zaś odpowiedziała:

— Właśnie jego zaślepienie powinno ją ująć i powstrzymać. To byłoby okropne!

— To nie «byłoby» — to jest. Widzisz, szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością, podle — pogardą.

---

## LI.

Dla pani Maryni słowa te były wielką otuchą, myśląc bowiem o swoich poprzednich niepokojach, mniemała zarazem, że Polaniecki nie powiedziałby nic podobnego, gdyby był zdolnym zawieść jej ufność. Nie przypuszczała też, że

człowiek inną może mieć miarę ogólną, inną osobistą, i że w życiu co krok napotyka się takie dwie różne miary. Mówiła sobie, że dość jest okazywać mężowi ufność bez granic, by go od wszystkiego powstrzymać, i z mniejszą obawą myślała teraz o blizkiem sąsiedztwie letniego domu pani Krasławskiej z domem Bigielów, w którym oboje z mężem mieli przepędzić lato. Łatwo bowiem było odgadnąć, że pani Maszkowa, która już się była przeniosła do domu matki, będzie z samych nudów częstym gościem u Bigielów. Maszko nie wysłał jej do Krzemienia, nie chcąc się z nią na letnie miesiące rozłączać. Z Warszawy, w której musiał zostać dla interesów, łatwo mu było codziennie dojeżdżać do żony, mieszkającej o godzinę od rogatek, tymczasem odległy Krzemień wyłączał możliwość podobnych wypraw. Maszce, zakochanemu szczerze w żonie, obecność jej była potrzebna, jako pokrzepienie, albowiem nadchodziły znów na niego ciężkie czasy. Sama sprawa o zwalenie testamentu nie była jeszcze wcale stracona, nie brała jednak, z powodu sprężystości obrony, pomyslnego obrotu; poczyniała się przewlekać, i ludzie poczęli o niej wątpić — już zaś to samo było dla Maszki niemal klęską. Kredyt jego, który z początku sprawy tak był odżył i rozkwitł, jak jabłoni na wiosnę, począł się powtórnie chwiać.

Śledź, który był osobistym Maszki wrogiem i człowiekiem wogóle zawziętym, nietylko nie poprzestał na rozpuszczaniu wieści o złem położeniu swego współzawodnika, lecz postarał się, by wątpliwości co do pomyślnego zakończenia sprawy przedarły się i do prasy. Poczęła się bezlitosna wojna prawna i osobista, Maszko bowiem starał się również szkodzić wszelkimi siłami nieprzyjacielowi, a przy spotkaniach się z nim zachowywał się wprost wyzywająco. Nie przynosiło mu to jednak korzyści. Kredyt stawał się coraz trudniejszym, a wierzyciele, lubo spłacani dotąd regularnie, tracili ufność. Zaczęło się znów gorączkowe poszukiwanie pieniędzy w tym celu, by jednym długiem zepchnąć drugi i podtrzymać opinię natychmiastowej wypłacalności. Maszko zużywał na to tyle inteligencyi i energii, że, gdyby nie zasadniczy fałsz w jego życiowych stosunkach, byłby z tymi przymiotami doszedł do sławy i wielkiego majątku.

Zwalenie testamentu mogło wszystko uratować, ale na to trzeba było czekać, a tymczasem wiązać rwące się tu i owdzie nici, co było równie niełatwem, jak upokarzającym. Przyszło do tego, że we dwa tygodnie po przeniesieniu się Polanieckich do Bigielów, gdy państwo Maszkowie przybyli do nich w odwiedzinę, Maszko zmuszony był zażądać od Polanieckiego «przy-

jacielskiej usługi», to jest — podpisania weksłu na kilka tysięcy rubli.

Połaniecki był z natury człowiekiem uczynnym i raczej hojnym, ale miał swoją teorię, która w sprawach pieniężnych nakazywała mu być trudnym — i skutkiem tego podpisu odmówił, natomiast zaś uczestował Maszkę swymi poglądami na kwestye pieniężne między przyjaciółmi.

— Gdy chodzi nie o obustronny korzystny interes, — rzekł mu — lecz o usługę prywatną, odmawiam podpisu z zasady; natomiast służę gotówką, o ile znajomy lub przyjaciel potrzebuje jej z powodu chwilowego kłopotu, nie zaś z powodu rozpaczliwego położenia. W tym ostatnim razie wolę zachować moją usłużność na później.

— To się znaczy, — odrzekł sucho Maszko — że dajesz mi lekką nadzieję wsparcia, gdybym zbankrutował?

— Nie. To się znaczy, że jeśli przyjdzie katastrofa, wówczas, zaciągawszy u mnie pożyczkę, będziesz mógł schować to, co pożyczysz, lub rozpocząć z owym kapitałem coś na nowo. Obecnie, rzucisz go jak w przepaść, ze szkodą dla mnie, bez pożytku dla siebie.

Maszko obrazil się.

— Mój drogi, — rzekł — widzisz moje położenie w gorszym świetle, niż ja sam i niż jest rzeczywiście. Właśnie jest to chwilowy kłopot



i mały kłopot. Cenię twoje dobre chęci, ale dziś jeszcze nie oddałbym może moich widoków za twój gotowy majątek. Teraz zaś mam jedną przyjacielską prośbę, mianowicie: żebyśmy nie mówili o tem więcej.

I obaj wrócili do pań: Maszko zły na siebie, że czegośkolwiek żądał, Polaniecki, że żądaniu odmówił. Jego teoria, iż w interesach pieniężnych należy być nieużytym, nieraz sprawiała mu podobne przykrości, nie mówiąc o szkodach, które mu w życiu przyniosła.

Przy paniach jego zły humor powiększył się jeszcze z powodu porównania pomiędzy panią Maszkową a Marynią. Ku wielkiemu umartwieniu Maszki, nie dotąd nie zwiastowało, by pani Maszkowa miała zostać matką, a co większa, zaufany lekarz, który znalazł ją od dzieciństwa, począł wątpić, czy to kiedykolwiek nastąpi. Natomiast zachowała całą wysmukłość panięńskich kształtów i teraz zwłaszcza, w perkalowej letniej sukni, wyglądała przy bardzo zmienionej i ociążalej Maryni, nietylko jak dziewczyna, ale jak osoba młodsza o kilka lat. Polaniecki, któremu się zdawało, że się już uporał z tym dziwnym pociąganiem, jaki na niego wywierała, uczul nagle, że tak nie jest, i że z powodu blizkiego sąsiedztwa, widując ją często, będzie coraz bardziej poddawał się jej fizycznemu urokowi.

Stosunek jego do żony stał się jednak od czasu zaręczynowego wieczoru Zawilowskiego cieplejszy, i Marynia była śmielszą, niż poprzednio, to też teraz, po wyjściu Maszków, spostrzegłszy, że Polaniecki pożegnał się z Maszką zimniej, niż zwykle, i że wogóle był zły, spytała, czy się nie poróżnili.

Polaniecki nie miał zwyczaju mówić z nią o interesach, ale w tej chwili był niezadowolony z siebie i uczuł taką potrzebę wypowiedzenia tego, co mu ciążyło, jaką zawsze odczuwa człowiek, trochę egoista, mający pewność, że znajdzie współczucie w oddanem mu sercu, więc rzekł:

— Odmówilem Maszce pożyczki i szczerze ci powiem, że mi teraz przykro. On ma przed sobą jeszcze widoki ratunku, ale położenie jego jest takie, że nim dojdzie do celu, może się przez lada przeszkodę przewrócić. Ostatecznie, nigdy nie byliśmy z nim w przyjaźni, prawie go nie lubię; razi mnie, gniewa, ale jednak życie stykało nas ustawicznie, a oprócz tego, on oddał nam raz wielką przysługę. Wprawdzie oddawałem i ja jemu usługi, ale teraz on znów ma nóż na gardle.

Marynia słuchała z przyjemnością tych słów, pomyślała bowiem, że gdyby Stach był naprawdę pod urokiem pani Maszkowej, to nie

byłby pożyczki odmówił, a powtóre, widziała w jego żalu dowód dobrego serca. Żał było i jej Maszków, ale, nie wniósłszy mężowi prawie żadnego posagu, nie śmiała go wprost prosić, by przyszedł im w pomoc, więc tylko spytała:

— Czy myślisz, że to musiałoby być stracone?

— Może tak, może nie — odpowiedział Połaniecki.

Poczem dodał z pewną chęlnością:

— Odmówić to ja umiem. Bigiel ma miększe serce.

— Tylko nie mów! Tyś taki poczciwy! Najlepszy dowód, że ci to takie przykre.

— Naturalnie, że nie może być przyjemnie pomyśleć, że człowiek, choćby obcy, wije się tam, jak wąż, z powodu kilku tysięcy rubli. Ja wiem, o co chodzi. Maszko dał ostateczny termin na jutro, przedtem szukał wszędzie pieniędzy, ale szukał ostrożnie, nie chcąc robić hałasu i przestraszać wierzycieli, a w ostateczności licząc na mnie. Otóż, widzisz, jutro nie zapłaci. Przypuszczam, że za kilka dni znajdzie jeszcze tyle, ile mu potrzeba, ale tymczasem opinia jego akuratności zachwieje się, a w położeniu, w jakim jest, wszystko może być dla niego zgubą.

Pani Marynia poczęła patrzeć na męża, wreszcie rzekła z pewną nieśmiałością:

— A tobie byłoby to naprawdę trudno?

— Jeśli chcesz prawdy, to wcale nie. Ja mam tu nawet z sobą książeczkę czekową, a wziąłem ją dlatego, żebym mógł zaraz zadatkować, jeśli jakąś kolonijkę upatrzę.

Potem zaczął się śmiać:

— O! — rzekł — protekcyja i współczucie dla dawnego adoratora! Zaczyna mi to dawać do myślenia.

Pani Marynia również poczęła się śmiać, bo rada była, że rozjaśniła twarz męża, lecz przecząc swoją wdzięczną główką, rzekła:

— Nie! to nie współczucie dla adoratora, tylko brzydki egoizm, bo sobie myślę, czy te parę tysięcy rubli warte przykrości mojego Stacha.

Wówczas Polaniecki począł gładzić dłonią jej włosy.

— Ty jednak — rzekł — jesteś poczciwa kobicinka z kośćcami.

Poczem spytał:

— No, więc decyduj: raz, dwa, trzy! — dać?

Ona nie odrzekła nic, tylko, jak rozpieszczone dziecko, poczęła mrugać oczyma na znak, żeby dać. Obojgu uczyniło się naraz wesoło, jednakże Polaniecki jął udawać, że narzeka, i mruzczyć:

— Oto, co jest być pod pantoflem. Włóczę

się tu, człowieku, po nocy i proś pana Maszki, żeby przyjął twoje pieniądze, dlatego, że tej oto rozpieszczonej figurze tak się podoba!

A jej serce zalewało się po prostu radością, że ją nazwał «rozpieszczoną figurą». Wszystkie jej dawne smutki, wszelkie niepokoje znikły, jakby zaklęte temi słowami. Rozpromienione jej oczy patrzyły na męża z nieopisaną miłością.

Po chwili spytała:

— Czy to koniecznie zaraz musisz tam iść?

— Naturalnie. Maszko jutro o ósmej jedzie do miasta i będzie cały dzień latał.

— To każ sobie zaprządz biedkę Bigiela.

— Nie! Księżyc świeci i niedaleko. Pójdę piechotą.

To rzekłszy, pożegnał żonę i, zabrawszy z sobą książeczkę z czekami, poszedł. Po drodze myślał:

— Jednakowoż tę Marynię możnaby do rany przyłożyć. To takie złote stworzenie, że choćby człowiek chciał czasem zrobić jakie szelmostwo, po prostu nie ma serca. Dał mi Bóg taką żonę, jakich mało na świecie.

I czuł w tej chwili, że ją kochał naprawdę. Czuł również, że miłość sama w sobie, jako wzajemny pociąg istot odmiennej płci, nie jest jeszcze szczęściem, a źle skierowana może być nawet niedolą; ale że natomiast nawet wyobraź-



nia ludzka nie potrafi wymarzyć większego szczęścia na świecie, jak wielka i zarazem prawa miłość w małżeństwie. — «Nad to nie masz nic — mówił Polaniecki — i pomyśleć, że to leży pod ręką, że to jest przystępne dla każdego, że to rzecz jedynie dobrej i uczciwej woli, a ludzie depcą po tym gotowym skarbie i poświęcają spokój dla targaniny, a cześć dla bezczci!»

Tak rozmyślając, doszedł do willi Maszków, której okna błyszczaly, jak wielkie latarnie na ciemnym tle lasu. Wszedłszy przez furtkę na oświetlone księżycem podwórze i zbliżywszy się do ganku, ujrzał przez szyby przyległego do sieni pokoiku oboje Maszków, siedzących na niskiej skręconej w ósemkę kanapce, przy której znajdował się stolik z lampą. Maszko obejmował ramieniem stan żony, drugą zaś ręką trzymał jej dłoń, którą to podnosił do ust, to zniżał, jakby za coś dziękował. Nagle objął obu ramionami młodą kobietę, przyciągnął ją ku sobie i, przechyliwszy, począł namiętnie całować jej usta, ona zaś z rękoma, opuszczonemi bezwładnie na kolana, nie oddając mu pieszczot, ale też nie broniąc się, poddawała im się tak biernie, jakby była istotą pozbawioną zarówno woli, jak krwi. Przez chwilę Polaniecki widział tylko wierzch głowy Maszki, jego długie faworyty, poruszające się od pocałunków — i na ten widok

krw uderzyła mu do głowy. Oblał go taki sam ukrop żądy, jak wówczas, gdy szukał tasemek do okrycia pani Osnowskiej — i tem bardziej palący, że spotęgowany całym szeregiem poprzednich pokus. Ten dziwny dla samego Polanieckiego, czysto fizyczny pociąg, z którym od dawna walczył, odżył teraz z niepohamowaną siłą. Przez mgnienie oka zbudziły się w nim dzikie instynkta pierwotnego człowieka, który, na widok pożądanej kobiety w cudzem objęciu, wpada we wściekłość i gotów się o nią porwać za bary ze szczęśliwym współzawodnikiem. Wraz z żądzą, zapiekła go zazdrość, nieprawa, nędzna i najniższa ze wszystkich rodzajów zazdrości, bo czysto fizyczna, a jednak tak nieokielznana, że on, który dopiero co rozumował, iż tylko uczciwa miłość do żony może być prawdziwym szczęściem, podeptałby w tej chwili to szczęście i tę miłość, byle móż podeptać Maszkę, a samemu chwycić w ramiona to wysmukłe ciało kobiece i pokrywać pocałunkami tę twarz lalki, bezmyślną i mniej piękną od twarzy jego własnej żony.

Tymczasem ów widok przez szyby nietylko wzburzył go, ale stał mu się nieznośnym, więc poskoczywszy do drzwi, pociągnął gorączkowo za dzwonek — i myśl, że ów dźwięk, który nagle rozległ się wśród ciszy, musiał przerwać

malżeńskie pieszczoty, sprawiła mu jakąś dziką i złośliwą radość. Gdy służący otworzył drzwi, kazał się oznajmić, sam zaś usiłował uspokoić się i ułożyć jako tako to, co miał powiedzieć Maszce.

Po chwili Maszko wyszedł do niego, z twarzą nieco zdziwioną.

— Wybacz, że przychodzę tak późno,— rzekł Połaniecki — ale żona zburczała mnie za to, że ci odmówił usługi, że zaś wiem, iż wyjeżdżasz jutro rano, przyszedłem dziś jeszcze, by tę sprawę załatwić.

Na twarzy Maszki odbiła się tajemna radość. Domyślił się on od razu, że tak późne odwiedziny Połanieckiego mają jakiś związek z ich poprzednią rozmową, nie spodziewał się jednak, że rzecz od razu pójdzie tak gładko.

— Proszę cię — rzekł. — Żona moja jeszcze nie śpi.

I wprowadził go do tego samego pokoju, w którego wnętrzu Połaniecki spoglądał przed chwilą przez szyby. Pani Maszkowa, siedząc na tej samej kanapie, trzymała w ręku nóż do rozcinania kartek i książkę, którą widocznie przed chwilą wzięła ze stolika. Zgaszona jej twarz wydawała się spokojną, ale na policzkach widać było ślady świeżych pocałunków, i usta miała wilgotne, a oczy mgliste. W Poła-

nieckim znów zawrzała krew i, mimo wszelkich wysiłków, by zachować się obojętnie, ścisnął tak silnie podaną sobie rękę, że usta pani Maszkowej ściągnęły się, jakby z bólu.

Jego zaś, z chwilą gdy dotknął jej ręki, mrowie przebiegło od stóp do głowy. Było w samym jej podaniu dłoni coś tak biernego, że mimowoli przeleciało mu przez głowę, że ta kobieta nie jest zdolną do żadnego oporu względem kogokolwiek, kto będzie miał odwagę i zuchwałość zdobyć się na prosty zamach.

Tymczasem Maszko począł mówić:

— Wyobraź sobie, żeśmy obaj dostali burę: ty, żeś mi usługi odmówił, a ja, żeś jej zażądał. Ty masz poczciwą żonę, ale i moja nie gorsza. Twoja wzięła mnie w obronę, a moja ciebie. Przyznałem jej się otwarcie do chwilowego kłopotu, a ona wylajala mnie, żeś tego od razu nie uczynił. Oczywiście nie mówiła do mnie jak prawnik, bo o tem nie ma pojęcia, ale koniec końców powiedziała mi, że pan Polaniecki słusznie mi odmówił, że trzeba wierzytelowi dać jakąś pewność, i że tę pewność ona gotowa jest dać na swoim dożywociu i wogóle na wszystkim, co jest jej... Właśnie dziękowałem jej za jej poczciwość w chwili, gdyś nadszedł.

Tu Maszko położył rękę na ramieniu Polanieckiego.

— Mój kochany, — rzekł — zgodzę się z tobą, że twoja pani jest najlepsza w świecie istota, a zgodzę się tem bardziej, że mam świeży tego dowód, pod warunkiem jednak, iż mi przyznasz, że moja nie gorsza. Nie powinno cię też dziwić, że chowam przed nią moje kłopoty, bo dalibóg, dobrem gotów jestem się z takim kochanem stworzeniem zawsze podzielić, ale złe, tem bardziej chwilowe, zachowuję tylko dla siebie, i gdybyś ją znalazł tak, jak ja, tobys się temu nie dziwił.

Połaniecki, który poza całą pokusą, jaką dla niego była pani Maszkowa, nie miał wcale o niej wygórowanego pojęcia i bynajmniej nie uważał jej za zdolną do ofiar, pomyślał:

«Albo to jest naprawdę dobra kobieta, i ja się mylę, albo Maszko okłamał ją tak, iż istotnie uważa jego położenie za świetne, a kłopot za zupełnie chwilowy».

I głośno rzekł do niej:

— Ja jestem człowiek ścisły w interesach, ale za kogo mnie pani ma, przypuszczając, że żądałbym jakiejś pewności na majątku pani? Odmówilem jedynie przez lenistwo i ogromnie się wstydzę — odmówilem dlatego, by w danym razie nie potrzebować jeździć do Warszawy po nowe zapasy. W lecie człowiek robi się leniuchem i egoistą. Ale wogóle chodzi o małą rzecz,



i ludziom, którzy, jak mąż pani, zajmują się interesami, takie kłopoty zdarzają się codziennie. Nieraz potrzebuje się pożyczki dlatego tylko, że własnych pieniędzy nie można na czas podnieść.

— I właśnie to mi się trafiło — rzekł Maszko, widocznie zadowolony, że Połaniecki tak przedstawia sprawę jego żonie.

— Mama zajmowała się interesami, więc ja się na tem nie znam, — wtrąciła pani Maszkowa — ale dziękuję panu.

Połaniecki zaś począł się śmiać:

— Wreszcie, co mi po pani poręczeniu? Przypuszczam na chwilę, że zbankrutujecie, a przypuszczam właśnie dlatego, że nic podobnego państwu nie grozi: czy pani wyobraża sobie w takim razie *mnie*, procesującego panią i zbierającego jej dochody?

— Nie! — rzekła pani Maszkowa.

Połaniecki podniósł jej rękę do ust, ale przy wszelkich pozorach światowej grzeczności, wpił w nią usta ze wszystkich sił, a jednocześnie we wzroku, którym na nią patrzył, była taka namiętność, że żadne wyznanie słowami nie zdołałoby jej więcej powiedzieć.

Ona zaś nie chciała dać poznać, że to rozumie, chociaż rozumiała dobrze, że ów pozór grzeczności był dla męża, a moc pocałunku dla

niej, rozumiała również, że się Połanieckiemu podoba, że jej piękność pociąga go — najlepiej jednak rozumiała, że w tej chwili tryumfuje nad Marynią, o której urodę była jeszcze, jako panna, zazdrosna, więc czuła przede wszystkim głębokie zadowolenie miłości własnej.

Spostrzegła zresztą już od dawna, że Połaniecki plonie przy niej — nie była zaś naturą ani tak uczciwą, ani tak delikatną, by to mogło ją urazić lub zabołeć. Przeciwnie: budziła się w niej ciekawość, zajęcie i próżność. Instynkt ostrzegał ją wprawdzie, że to jest człowiek zuchwały, który w danym razie gotów jest posunąć się za daleko — i myśl ta przejmowała ją czasem obawą; ale gdy dotąd nie zdarzyło się jeszcze nic podobnego, sama nawet obawa miała dla niej pewien urok.

Tymczasem zaś rzekła Połanieckiemu:

— Mama zawsze mówiła o panu, jak o człowieku, któremu w każdym wypadku możnaby zaufać.

Mówiła to zwykłym sobie, wycudzonym głosem, co Połaniecki nieraz poprzednio wyśmiewał, ale teraz wszystko było w niej dla niego tem większą ponętą, więc, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Niech i pani tak myśli o mnie.

— Ufajcieżę sobie nawzajem, — wtrącił żar-

tobliwie Maszko — a ja pójdę do siebie przygotować co potrzeba, i za chwilę sprawę zala-  
twimy.

Połaniecki i pani Maszkowa zostali sami. Na jej twarzy odbiło się pewne zakłopotanie; dla pokrycia go poczęła poprawiać ciemnik na lampie, on zaś zbliżył się szybko do niej i począł mówić:

— Będę szczęśliwy, jeśli i pani zechce tak myśleć o mnie. Ja jestem człowiek bardzo pani oddany, bardzo!... Chciałbym mieć choć przy-  
jaźń pani... Czy mogę na nią liczyć?

— Tak.

— Dziękuję.

To rzekłszy, wyciągnął ku niej rękę, bo zresztą wszystko to, co mówił, zmierzało tylko do tego, by opanować jej dłoń. Jakoś pani Maszkowa nie śmiała mu jej odmówić, on zaś, chwyciwszy ją, oparł na niej usta po raz drugi, ale tym razem, nie poprzestając na jednym pocałunku, począł ją niemal pożerać. W oczach mu się zaćmiło. Chwila jeszcze, a byłby w zapamiętaniu chwycił i przyciągnął ku sobie tę pożądaną istotę — tymczasem jednak w przyległym pokoju ozwały się skrzypiące buty Maszki, co usłyszawszy pierwsza pani Maszkowa, poczęła mówić śpiesznie:

— Mój mąż wraca.

W tej chwili Maszko otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę cię.

Poczem, zwróciwszy się do żony, dodał:

— Każ tymczasem przynieść herbaty, my zaraz wrócimy.

Jakoż sama sprawa nie zajęła wiele czasu. Połaniecki wypełnił czek, i był koniec. Ale Maszko poczęstował Połanieckiego cygarem i poprosił siedzieć, gdyż miał ochotę pogawędzić.

— Znów walą się na mnie klopoty — rzekł. — Wybrnę, bo wybrnę. Miałem nieraz do czynienia z większymi. Chodzi tylko o to, by słońce uprzedziło rosę, i bym otworzył sobie jakiś nowy kredyt, lub jakieś nowe źródło dochodu przed ukończeniem sprawy i dla jej poparcia.

Połaniecki, cały wzburzony wewnątrz, słuchał tego początku zwierzeń z nieuwagą i żuł niecierpliwie cygaro. Nagle przyszła mu jednak niegodziwa myśl, że gdyby Maszko zginął z kretesem, żona jego stałaby się łatwiejszym jeszcze łupem.

Więc spytał szorstko:

— Czyś ty pomyślał nad tem, co uczynisz, jeśli sprawę przegrasz?

— Nie przegram — rzekł Maszko.

— Wszystko się zdarza — i sam najlepiej o tem wiesz.

— Nie chcę o tem myśleć.

— A jednak powinienes — rzekł Połaniecki z akcentem pewnej radości, której Maszko nie zauważył. — Co w takim razie zrobisz?

Maszko wsparł dłonie na kolanach i, patrząc ponuro w ziemię, rzekł:

— W takim razie muszę opuścić Warszawę.

Nastala chwila milczenia. Twarz młodego adwokata stawała się coraz posępniejszą; wreszcie zamyślił się i począł mówić:

— Niegdyś, za moich najlepszych czasów, znalazem w Paryżu barona Hirscha. Zetknęliśmy się kilkakrotnie i raz nawet wzięliśmy udział w jakiejś sprawie honorowej. Czasem teraz, gdy mnie opadną zwątpienia, przypominam go sobie, bo on pozornie wycofał się z interesów, a w gruncie rzeczy ma ich mnóstwo, zwłaszcza na Wschodzie. Znam takich, którzy porobili przy nim majątki, bo tam pole otwarte na każdym kroku.

— Myślisz więc, że mógłbyś się do niego udać?

— Tak. Ale prócz tego mogę sobie także w leń strzelić...

Lecz Połaniecki nie wziął tej groźby poważnie. Z krótkiej tej rozmowy przekonał się o dwóch rzeczach: naprzód, że Maszko, mimo swej pozornej pewności, myśli często o możliwej ruinie,



a powtóre, że na taki wypadek ma nawet plan, może fantastyczny, ale gotowy.

Lecz Maszko otrząśł się nagle z posępnych widzeń i rzekł:

— Moja siła zawsze leżała w tem, że nigdy nie myślał o dwóch rzeczach naraz. Dlatego myślę wyłącznie o sprawie. Wiem, że tamten lotr robi wszystko, żeby mnie zgubić w opinii, ale ja drwię z opinii i chodzi mi tylko o sądy. Gdybym się zarwał przedwcześnie, mogłoby to i na nie źle wpłynąć. Rozumiesz? Uważanoby wówczas całą sprawę za rozpaczliwy wysilek tonącego, który się chwyta, czego może. Otóż tego nie chcę. Dlatego muszę uchodzić za człowieka, stojącego na silnych nogach. Jest to smutna konieczność, ale nie wolno mi być teraz nawet oszczędnym, nie wolno zmniejszyć skali życia. Jak mnie widzisz, mam kłopotów po uszy, zresztą któż o tem lepiej wie od ciebie, który mi dajesz pożyczkę? A jednak wczoraj jeszcze targowałem Wybórz, znaczny majątek w Rawskim, jedynie dlatego, by moim wierzycielom i przeciwnikom zasypać piaskiem oczy. Powiedz mi, ty znasz dobrze starego Zawilowskiego?

— Od niedawna. Poznałem go przez młodego.

— Aleś mu się podobał, bo on ogromnie podziwia ludzi ze szlacheckimi nazwiskami, którzy robią majątki. Wiem, że on sam jest włas-

nym plenipotentem, ale się starzeje i gnębi go pedogra. Ja mu podsunąłem kilka myśli — więc, gdyby ciebie o coś spytał — poleć mu mnie. Rozumiesz, że nie chcę dobrać się do jego kasy, chociaż jako pełnomocnik miałbym jakieś dochody, ale głównie chodzi mi o to, by się rozgłosiło, że zostałem pełnomocnikiem takiego milionera. Czy prawda, że on dla młodego chce zrobić ordynacyę z majątków poznańskich?

— Tak opowiada pani Broniczowa.

— To byłby dowód, że to nieprawda, ale wszystko na świecie jest możliwe. W każdym razie i ten młody weźmie za żonę jakiś posąg, a jako poeta nie ma pewno najmniejszego pojęcia, jak się z takimi rzeczami obchodzić. Mógłbym mu również posłużyć radą i pomocą.

— Muszę ci w jego imieniu stanowczo odmówić, albowiem jego interesami przyrzekliśmy się zająć w przyszłości, my, to jest ja i Bigiel.

Maszko zmarszczył się nieznacznie i odrzekł:

— Mnie też nie chodzi o jego interesa, tylko o to, bym mógł ludziom powiedzieć, że jestem pełnomocnikiem Zawilowskiego, bo rozumiesz, że nim się wyjaśni, którego Zawilowskiego, mój kredyt może na tem tylko zyskać.

— Wiesz, że ja się nigdy nie wdaję w cudze sprawy, ale powiem ci szczerze, że dla mnie

to byłaby straszna rzecz tak istnieć tylko kredytem.

— Spytaj się największych milionerów w świecie, czy porobili majątki na innej podstawie.

— A ty spytaj wszystkich bankrutów, czy się nie zarwali z takiejże przyczyny.

— Co do mnie, przyszłość to pokaże.

— Tak — rzekł, wstając, Polaniecki.

Maszko podziękował mu jeszcze za pożyczkę, i obaj przeszli na herbatę do pani, która spytała:

— Cóż? sprawa już załatwiona?

A Polaniecki, którego znów wstrząsnął jej widok, i który nagle przypomniał sobie, że przed chwilą powiedziała mu: «Mąż wraca!» — jakby już współwinna, odpowiedział jej, nie zważając na Maszkę:

— Między mężem pani a mną już załatwiona między nami dwojgiem — jeszcze nie.

Pani Maszkowa, jakkolwiek miała krew chłodną, zmieszała się jednak, jakby przestraszona jego zuchwalstwem, Maszko zaś spytał:

— Jak to?

— Tak to, — odpowiedział Polaniecki — że pani przypuszczała, iżbym był zdolny żądać poręczenia na jej majątku — i tego nie mogę jej dotąd darować.

Pani Maszkowa spojrzała na niego swemi niewyraźnymi, szaremi oczyma, jakby z pew-

nym podziwem. Zaimponowała jej jego śmiałość i przytomność umysłu, z jaką umiał nadać przyzwoity towarzyski obrót swym słowom. Wydał jej się przytem w tej chwili urodziwym mężczyzną, bez porównania urodziwszym od jej męża.

— Przepraszam — rzekła.

— To nie pójdzie łatwo. Ani pani wie, jaki ze mnie zawzięty człowiek.

Wówczas odpowiedziała z pewną kokieteryą, jak istota świadoma swego uroku i swej mocy:

— Nie wierzę.

On zaś siadł koło niej, i wzięwszy nieco niepewną ręką filiżankę, począł poruszać łyżeczką herbatę. Ogarniał go coraz większy niepokój. Nieraz przedtem nazywał panią Maszkową, jeszcze za jej panieńskich czasów, rybą, a teraz czuł ciepło, bijące przez lekkie ubranie od jej ciała i doznawał takiego wrażenia, jakby go ktoś obsypał skrami. Znów przypomniały mu się jej słowa: «Mąż wraca!» — i serce poczęło mu zapływać falami krwi, gdyż zdało mu się, że tak mogła ozwać się kobieta, już gotowa i przygotowana na wszystko. Jakiś głos mówił mu w duszy: «To jest tylko kwestya sposobności!» — i na tę myśl, rozkielznana jego żądza zmieniła się zarazem w jakąś rozkielznaną radość. Przestał do reszty nad sobą panować.

Przez chwilę począł szukać stopą jej stopy, lecz nagle samemu wydało się to zbyt grubem i prostackiem. Powiedział sobie wreszcie, że gdy chodzi już tylko o czas i sposobność, trzeba umieć czekać. Przewidywał, że czas przyjdzie, sposobność się znajdzie — i w dreszczach, jakie go przejmowały na samą tę myśl, odnajdował zapowiedź przyszłych palących uniesień.

Tymczasem było mu ciężko, musiał bowiem podtrzymywać rozmowę zupełnie niezgodną ze swym nastrojem i odpowiadać Maszce, który wypytywał o przyszłe zamiary Zawilowskiego co do urządzenia sobie życia i o rozmaite tym podobne rzeczy. Wreszcie począł się żegnać, ale przed odejściem, zwróciwszy się do Maszki, rzekł:

— Jakieś psy opadały mnie po drodze, a zapomniałem laski; pożycz mi swojej.

Żadne psy nie opadały go po drodze, ale chodziło mu o pozostanie choć przez minutę sam na sam z panią Maszkową, to też, gdy Maszko wyszedł, zbliżył się do niej szybko i ozwał się jakimś przytłumionym, nieswoim głosem:

— Pani widzi, co się ze mną dzieje?

Ona widziała istotnie jego wzburzenie, jego świecące żądzą oczy i rozdęte nozdrza — ogarnął ją nagle niepokój i obawa, lecz on pamiętał tylko jej słowa: «Mąż wraca!» — i jedno tylko



miał poczucie: niech się stanie co chce! — i ten sam człowiek, który przed chwilą mówił sobie, że trzeba umieć czekać, teraz, stawiając wszystko w mgnieniu oka na jedną kartę, szepnął:

— Ja panią kocham!

A ona stała przed nim ze spuszczonei oczyma, jakby ogłuszona i zmieniona w słup, pod wpływem tych słów, od których musiało się już zacząć proste przeniwierstwo, a zatem nowa epoka w jej życiu. Odwracała tylko nieco głowę, jakby pragnąc uniknąć jego wzroku. Nastalo milczenie; slychać bylo tylko zdyszany nieco oddech Polanieckiego. Lecz w przyległym pokoju ozwały się znów skrzypiące buty Maszki.

— Do jutra — szepnął Polaniecki.

I w tym szepcie było niemal coś rozkazującego. Pani Maszkowa stała ciągle bez ruchu, ze spuszczonei oczyma, jak słup.

— Oto jest laska — rzekł Maszko. — Ja jutro rano wyjeżdżam do miasta i wrócę dopiero wieczorem. Jeśli będzie pogoda, to może państwo zechcecie odwiedzić moją pustelnicę.

— Dobranoc! — rzekł Polaniecki.

I po chwili znalazł się na pustej, oświeconej przez księżyc, drodze. Zdawało mu się, że wyskoczył z płomieni. Cisza nocy i lasu była czemś tak sprzecznem z jego wzburzeniem, że uderzyła go jakby coś nadzwyczajnego. Pierwszem wra-

żeniem, jakie potrafił uświadomić, było poczucie, że skończyła się jego wewnętrzna walka, skończyły się wahania, że mosty już spalone i że stało się. Jakiś głos wewnętrzny począł mu krzyczeć w duszy, iż stało się przedewszystkiem to, iż jest nędznikiem, ale właśnie w tej myśli tkwiła jakaś desperacka ulga, albowiem mówił sobie, że skoro tak jest, więc musi zgodzić się na siebie, jako na nędznika, a w takim razie «niech wszystko przepada i niech wszystko dyabli biorą!» Nędznik nie potrzebuje przynajmniej walczyć z sobą i może dać sobie folgę. Tak jest! stało się i mosty spalone! Sprzeniewierzy się Maryni, zdepcze jej serce, zdepcze uczciwość, zdepcze zasady, na których budował życie, ale wzamian będzie miał panią Maszkową! Teraz jedno z dwojga: albo ona oskarży go przed mężem, i jutro nastąpi pojedynek — co jeśli się stanie, to niech się stanie! — albo będzie milczała, a w takim razie zostanie jego współniczką. Jutro Maszko wyjedzie, on zaś posiadzie wszystko, czego pragnie, choćby potem miał się świat zapaść. Ona, jeśli go nie oskarży, to lepiej jej nie próbować oporu. Wyobrażał też sobie, że go nie będzie próbowała, albo uczyni to tylko dla zachowania pozorów. I poczęło w nim wrzeć na nowo. Ta jej bezwładność, która budziła w nim niegdyś tyle pogardy, stała

mu się teraz jedną więcej ponętą. Wyobrażał sobie dzień jutrzejszy i bierność tej kobiety. Mimo całego zamętu myśli, rozumiał doskonale, że ona właśnie w tej bierności będzie później szukała dla siebie wymówki, że powie sobie, iż nie przyłożyła się do winy, że ją do niej zmuszono — i w ten sposób będzie okłamywała własne sumienie, Boga, a w razie potrzeby męża. I tak myśląc, pogardzał nią tyle samo, ile jej pożądał, ale czuł jednocześnie, że on sam niewiele więcej wart, i że na mocy jakiegoś doboru, nietylko naturalnego, ale i moralnego, powinni do siebie należeć.

Pojmował również, że dla niego za późno już cofać się z tej drogi, i że gdy raz te same jego usta, które zaprzysięgły wierność i miłość Maryni, powiedziały innej kobiecie: «kocham» — to największe zło zostało spełnione. Reszta była już tylko prostą konsekwencją, której nie należało odrzucać, choćby dlatego, że była przynajmniej zarazem rozkoszą. Wyobrażał sobie, że tak muszą rozumować wszyscy, którzy, wyrzucając za okno uczciwość, decydują się na szelmostwo, ale samo rozumowanie wydało mu się równie słusznem, jak niemoralnem. I w miarę jak poczynął myśleć trzeźwiej, zdumiewał się nad własnem zepsuciem. Widywał dużo zła i brudu, ukrytego w świecie pod pozorami po-

loru i oglądy, wiedział, że owo zepsucie wyrobiło sobie niejako, pod wpływem lichych książek, prawo obywatelstwa; ale pamiętał, że oburzał się tem, że chciał dla swego społeczeństwa prostoty i surowości obyczajów, w przekonaniu, że tylko na takich podstawach może rozwinąć się społeczna tęgość i oporność. Nic nie wzbudzało w nim tyle obaw o przyszłość, ile to wykwintne zło Zachodu, posiane na dziką słowiańską glebę i wyrastające na niej chorobliwym kwiatem dyktantyzmu, rozpusty, bezsilności i wiarołomstwa. Przypomnił sobie, że nieraz oskarżał o taki posiew to wysokie sfery finansowe, to arystokrację rodu, i nieraz napadał na nie z tego powodu bez miłosierdzia. A teraz zrozumiał, że kto żyje w atmosferze przesyconej kwasem węglowym, ten musi się zacządzieć. W czymże on był lepszy od innych? O ile raczej był gorszy od tych, którzy, plawiąc się w zepsuciu, jak kijanki w wodzie, nie bawili się przynajmniej w hipokryzyę, nie oszukiwali samych siebie, nie przepisywali innym praw i nie stawiali ideału zdrowego duchowo człowieka, uczciwego męża, uczciwego ojca — jako obowiązującego wzoru. I prawie nie chciał wierzyć sobie, by był tym samym człowiekiem, który niegdyś umiał kochać idealną przyjaźnią panią Emilię, który szczerze przyrzekł Maryni uczciwość małżeńską,

i który wreszcie uważał się za umysł jasny, a charakter bardziej prawy i silniejszy od innych.

On, silniejszy? Siła jego była tylko złudzeniem, płynącym z braku pokus. Jeśli kochał idealnem uczuciem brata panią Emilię, jeśli oparł się kokieteryi pani Osnowskiej, to tylko dlatego, że nie wzbudziły w nim tego zwierzęcego pociągu, jaki wzbudziła ta lalka z czerwonymi oczyma, którą odpychała jego dusza, a do której rwaly się od dawna jego zmysły. Myślał też teraz, że jego uczucie dla Maryni nie było także nigdy uczciwem, bo w gruncie rzeczy nie było również czem innym, tylko takim samym zwierzęcym pociągami. Przyzwyczajenie stepiło go, więc powstrzymany prócz tego i przez stan Maryni, zwrócił się tam, dokąd mógł — i zwrócił się bez żadnego hamulca, ni skrupułu, ledwie w pół roku po ślubie.

I Połaniecki, który, wyszedłszy od Maszków, miał poczucie, że jest nędznikiem, począł nagle miarkować, że jest większym nędznikiem, niż zrazu myślał, albowiem przypomniał sobie także, że ma zostać ojcem.

W domu, w oknach Maryni, światła nie były jeszcze pogaszone. Połaniecki byłby dal wiele za to, by ją zastać już śpiącą. Przyszło mu nawet na myśl pójść dalej i nie wrócić, póki



w oknach nie będzie ciemno. Ale nagle zobaczył jej sylwetkę na szybie. Musiała go wyglądać i, ponieważ przed domem było jasno, musiała go dostrzedz. Pomiarkowawszy to, wszedł.

Przyjęła go już w białym nocnym kaftaniku i z rozwiązanymi włosami. Była w tych rozwiązanych włosach pewna umyślna kokieterya, bo wiedziała, że ma piękne i że on lubi się z nimi bawić.

— Czemuś ty się nie położyła?— spytał, wchodząc.

A ona zbliżyła się ku niemu senna, ale uśmiechnięta, i rzekła:

— Czekalam na ciebie z pacierzem.

Od czasów pobytu w Rzymie odmawiali pacierz razem. Ale obecnie Polanieckiemu sama myśl o tem wydawała się nie do zniesienia.

Marynia tymczasem zaczęła pytać:

— Cóż, Stachu, kontent jesteś, żeś go poratował? Prawda, żeś kontent?

— Tak — odpowiedział Polaniecki.

— A ona, czy wie o jego położeniu?

— Wie i nie wie. Późno już. Pójdźmy spać.

— Dobranoc! Wiesz, o czem tu sama rozmyślałam: żeś ty taki poczciwy i dobry!

I wyciągnawszy ku niemu twarz, objęła go za szyję, on zaś ucałował ją, czując jednocześnie i czystą prawosć tego pocałunku, i swoją

podłość, i całe szeregi podłości, które przyjdzie mu spełnić następnie.

Jedną spełnił zaraz, klękawszy do pacierza, który Marynia poczęła głośno odmawiać. Nie mógł tego nie uczynić, a czyniąc, odgrywał tylko nędzną komedję, bo nie mógł się modlić.

Po skończonym pacierzu i powtórnem dobranoc nie mógł również usnąć. Zdawało mu się, że, idąc od Maszków, objął myślą i swój postępek i wszelkie jego moralne wyniki. Tymczasem okazało się, że nie. Przyszło mu teraz do głowy, że w Boga można nie wierzyć, ale nie wolno z Niego drwić. Spełnić naprzykład wiarolomstwo, wrócić jutro lub pojutrze, po dokonaniem cudzołóstwie, do domu i klęknąć do pacierza — to byłoby nadto. Czul, że trzeba wybrać. Albo uczucie religijne i szczerą wiarą, albo pani Maszkowa! Godzić tego nie można. I nagle spostrzegł, że wszystko, co przez lata rozmyślań wyrobił i wypracował w sobie, że cały ten ogromny spokój, płynący z rozwiązania głównej zagadki życia, słowem to, co stanowiło istotę jego duchowego bytu, trzeba poprostu odepchnąć. Z drugiej strony rozumiał również, że od jutra trzeba będzie zacząć kłamać swoim zasadom społecznym, swemu uznaniu rodziny, jako podstawy społecznego bytu. Nie wolno również głosić takich zasad, a pry-

watnie — uwodzić cudze żony. Trzeba także wybrać. Co do Maryni, kłamstwo w stosunku do niej już zostało spełnione. Tak więc za jednym zamachem szedł w ruinę jego stosunek do Boga, do społeczeństwa, do kobiety, słowem, pułapowego pracowicie dźwigniętego duchowego domu, w którym dotychczas mieszkał, walił mu się na głowę. I to zazębianie się złego przejęło go pewnym zdumieniem. Nie spodziewał się, żeby po przecięciu jednej nitki cały szew pruł się tak nagle, i z pewnym zdziwieniem począł sobie zadawać pytanie: jakim sposobem może istnieć na świecie tego rodzaju oportunistyczny wiarygodność godzi w życiu z uczciwością i honorem? Bo jednak tak było. Znal wielu tak zwanych porządnymi ludźmi, żonatymi, kochającymi żony, niby religijnych — i zarazem uganiających się za każdą spotkaną kobietą. Ci sami, którzyby żonom swoim wszelkie zboczenie z drogi obowiązku poczytywali za zbrodnię, pozwalali sobie na małżeńską niewiarę bez żadnego skrupułu. Przypomniawszy sobie, jak ktoś z jego znajomych, przyparty z tego powodu do muru, wykręcił się wesółym brukowym dowcipem, iż nie jest szwedzką zapalką. Ostatecznie wiarygodność utarło się i między mężczyznami uchodziło za coś dozwolonego, niemal za zwyczaj. Połanieckiemu myśl ta przyniosła chwilę

ulgi, ale krótką, był bowiem człowiekiem logicznym, jeśli nie w postępkach, to przynajmniej w rozumowaniu. Tak! Świat nie składa się z samych łotrów i hipokrytów, ale w znakomitej części składa się z ludzi lekkich i bezmyślnych — i ten oportunizm, godzący cudzołóstwo z pojęciem honoru i uczciwości, nie jest niczem innym, tylko bezmyślnością. W czym bowiem może rozgrzeszać zwyczaj człowieka, który uznaje niemoralność i głupotę tego zwyczaju? Dla durnia — myślał Polaniecki — wiarołomstwo może być wesolym wypadkiem; dla człowieka, umiającego poważnie myśleć, jest łotrostwem, tak samo przeciwnem etyce, jak złodziejstwo, jak podpisywanie cudzych nazwisk na wekslach, jak łamanie przysięgi, jak łamanie słowa, jak oszustwo w handlu lub kartach. Religia może odpuszczać grzech cudzołóstwa, jako chwilowy upadek, ale cudzołóstwo, które się samo z góry rozgrzesza, wyłącza religię, wyłącza obywatelstwo, wyłącza uczciwość, wyłącza honor. Polaniecki, który w rozumowaniach z sobą był zawsze szczerym, a wogóle ogromnie bezwzględnym, nie cofnął się i przed tym ostatecznym wnioskiem.

Natomiast zląkł się, jakby ujrzał przepaść. Jeśli się nie cofnie, skręci kark. Ale jednocześnie począł gryźć się własną słabością. Już znalazł

się dostatecznie — i z żalem, a zarazem z pogardą dla tej własnej słabości, z góry był przekonany, że gdy zobaczy panią Maszkową — zwierzę ludzkie weźmie w nim górę nad duszą. Cofnąć się? — wszak on powtarzał to sobie i postanawiał po każdej pokusie, a potem, wobec każdej następnej, namiętność unosiła na złamanie karku jego wolę, tak jak dziki koń unosi jeźdźca. Na samo to wspomnienie chciało mu się kłąć. Gdyby w domu był nieszczęśliwym, gdyby jego namiętność wyrosła na tle wielkiej miłości — miałby coś na jej usprawiedliwienie; ale on pani Maszkowej nie kochał, tylko jej pragnął. Z tego rozdwojenia natury ludzkiej nie umiał sobie nigdy zdać sprawy; wiedział tylko, że pragnął i że będzie pragnął za każdym widzeniem, za każdą myślą o niej.

Więc pozostawałaby jedna rada: nie widywać jej — rada niemożliwa, nietylko ze względu na wszelkiego rodzaju stosunki znajomości, ale choćby ze względu na to, że w takim razie Marynia poczęłaby coś podejrzewać. Połaniecki ani przypuszczał, że tak już było, i że ona ukryła tylko przed nim cierpienie — zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby zdrada jego wyszła w jakikolwiek sposób na jaw, byłby



to dla tej słodkiej i pełnej wiary kobiety cios wprost nad siły. I wyrzuty jego wzrosły jeszcze. Chwycił go ogromny żal i litość nad nią, a zarazem tem większa pogarda dla siebie. Mimo ciemności, krew przyplynęła mu do twarzy na wspomnienie, iż Maszkowej powiedział: «Kocham», że fatalne słowo już padło, że zawiódł i zdradził to poczciwe, prawe stworzenie i że byłby zdolny zawieść jej ufność i podeptać serce.

Przez chwilę wydało mu się to czystem niepodobieństwem, lecz sumienie odpowiedziało mu: «Byłbyś zdolny!» Jednakże w tym żalu i litości nad nią znalazł pewną pociechę, gdyż poznał, że uczucie jego dla niej było i jest czemś więcej, niż zwierzęcym pociąganiem, i że tkwiły w niem jakieś węzły, płynące ze wspólności pożycia, z wzajemnej przynależności, ze ślubu, ze stowarzyszenia się na złą i dobrą dolę, z wielkiego szacunku i przywiązania, które w przyszłości miało być spotęgowane przez dziecko. Nigdy też nie kochał jej więcej, niż w tej chwili wewnętrznej rozterki, i nigdy nie budziła w nim większej tkliwości. Poczęło dzień. Przez szpary okienicy wchodził brzask i napelniał pokój bladem światłem, przy którym widać było niewyraźnie jej ciemną, wgłębioną w poduszki głowę; Połanieckiemu zaś serce przepelniło się poczu-

ciem, że to jest jego jedyne i najwyższe dobro, że tam śpi jego bardzo kochana towarzyszka, najlepsza przyjaciółka, żona i przyszła matka jego dziecka. I żadne wywody, żadne rozumowania nad religijną i społeczną niecznością cudzołóstwa nie napełniły go takim ku niemu i ku sobie obrzydzeniem, jak widok tej słodkiej, uspiionej twarzy. Światła przez szpary wchodziło coraz więcej, i główka jej coraz wyraźniej wychylała się z cienia. Widać już było półkola jej ciemnych rzęs na policzkach — i Polaniecki, wpatrując się w nią, począł sobie mówić: «Twoja poczciwość mnie pomoże!» Nagle lepsze uczucia wzięły w nim górę: zwierzę ustąpiło duszy — i ogarnęła go pewna otucha, pomyślał bowiem, że gdyby był takim nędznikiem, jak sobie wyobrażał, byłby z łżejszem sercem poszedł za głosem namiętności i nie przechodził takich zgryzot.

Nazajutrz zbudził się późno, zmęczony i nieco chory. Czuł jakieś zniechęcenie i wyczerpanie, którego przedtem nie doświadczał. Przy świetle dziennem, a w dodatku przy świetle dnia dżdżystego i posepnego, cała sprawa wydała mu się inaczej, trzeźwiej, pospoliciej — i ani przyszłość nie przedstawiła mu się tak groźną, ani wina tak wielką. Wszystko zmalowało w jego oczach. Począł teraz myśleć głównie nad tem,

czy pani Maszkowa przyznała się do wszystkiego mężowi, czy nie. Chwilami przypuszczał, że tak, i na tę myśl doznawał takiego uczucia, jakiego doznaje człowiek, który niepotrzebnie zalazł w wielki i przykry kłopot. Zwolna jednak to uczucie zmieniało się w coraz większy i żywszy niepokój. «Położenie jest głupie — mówił sobie. — Maszce wszystko można zarzucić, ale nie jest ani niedołągą, ani tchórzem — i podobnej obelgi nie schowa do kieszeni. Więc wyjaśnienia, awantura — może pojedynek? Niechże to piorun trzaśnie! Co za fatalna historia, jeśli rzecz dojdzie do Maryni!» I począł się złościć na cały świat. Oto dotąd miał zupełny spokój, o nikogo nie dbał, z nikim się nie liczył, dziś zaś obracał na wszystkie strony w głowie wyrazy: «Powiedziała? — nie powiedziała?» i od rana nie mógł o niczem innem myśleć. Przyszło do tego, że wreszcie zadał sobie pytanie: «Co u licha, czy ja się Maszki boję? — ja?» Ale on się nie Maszki bał, tylko Maryni, co było również dla niego czemś i nowem i zdumiewającym, albowiem przed kilku jeszcze dniami byłby raczej wszystko przypuścił, niż to, że się jej będzie kiedykolwiek bał. I w miarę, jak zbliżało się południe, sprawa, która rano przedstawiła mu się w zmniejszonych rozmiarach, poczęła znów rosnać w jego oczach. Chwilami

pokrzepiał się nadzieją, że pani Maszkowa będzie milczała, chwilami ją tracił — i wówczas czuł, że nie tylko Maryni, ale nikomu nie będzie śmiało spojrzeć w oczy, i bał się także Bigiela, bał się Bigielowej, pani Emilii, Zawilowskiego, słowem wszystkich znajomych. «Oto, co jest nabroić! — myślał sobie. — Ile jedno głupstwo kosztuje!» Niepokój jego zwiększył się do tego stopnia, że wreszcie, pod pozorem odesłania laski, wysłał służącego chłopaka do pani Maszkowej z ukłonem i zapytaniem o zdrowie.

Służący wrócił w pół godziny. Polaniecki widział go przez okno, i zeszedłszy śpiesznie na jego spotkanie, dowiedział się, że przyniósł list od pani Maszkowej do Maryni. Odebrawszy list, oddał go Maryni, i serce bilo mu jeszcze niepokojniej, gdy śledził jej twarz, podczas gdy czytała.

Lecz Marynia, skończywszy, podniosła na niego swe spokojne oczy i rzekła:

— Prosi nas pani Maszkowa dziś na podwieczorek... i Bigielów także.

— Aa! — odpowiedział Polaniecki, odetchnąwszy pełną piersią.

I w duszy dodał:

— Nie powiedziała!

— Pójdziemy? prawda? — pytała Marynia.



— Jak chcesz... To jest... idź z Bigielami, ja po obiedzie muszę jechać do miasta. Muszę się widzieć ze Świrskim. Może go tu przywiezę.

— To może się wymówić?

— Nie, nie! idź z Bigielami. Może po drodze wstąpię do niej i wytłómaczę się. Ale i to nie! Ty mnie wytłómacz.

I wyszedł, bo potrzebował zostać sam ze swemi myślami.

— Nie powiedziała!

Polanieckiego ogarnęło uczucie ulgi i radości. Nie powiedziała mężowi, nie obrazila się, zaprosiła ich, zatem zgadza się na wszystko, gotowa iść dalej — i dojść wszędzie, dokąd ją będzie chciał zaprowadzić. Czemże jest samo to zaproszenie, jeśli nie chęcią uspokojenia go — jeśli nie odpowiedzią na jego: «Do jutra!» Teraz więc wszystko zależy tylko od niego. I mrowie poczęło go znów przechodzić od stóp do głowy. Niema już przeszkód, chyba w nim samym. Ryba połknęła haczyk. Pokusy opadły go z nową potęgą, bo nie hamowała już ich niepewność. Tak jest! ryba połknęła haczyk. Nie oparła się. Tu chwyciło go uczucie tryumfu i zadowolenia miłości własnej, a jednocześnie, myśląc o pani Maszkowej, począł ją niemal przepraszać w duszy, że chwilami mógł wątpić o niej i — poczytać ją choćby przez pięć minut za uczciwą ko-



bietę... Teraz przynajmniej wiedział, co o niej sądzić, i był jej za to wdzięczny. Po chwili począł się śmiać ze swoich poprzednich obaw. W ten sposób składał jej pierwszy przynależny hold — pogardy. Przestała być dla niego czemś niedostępnem, czemś, o co się toczy walka między obawą a nadzieją. Mimowoli wyobrażał ją sobie teraz jak coś swego, jako rzecz własną, zawsze ponętną, ale tem samem mniej cenną. Sprawiała mu także przyjemność myśl, że jeśli się pokusie oprze, to będzie już czysto jego zasługa. Teraz, gdy drzwi stały otworem, spostrzegł ze zdziwieniem, że zwiększa się w nim chęć oporu. Raz jeszcze przeleciało mu przez myśl wszystko, co sobie o wiarołomstwie mówił w czasie bezsennej nocy — raz jeszcze serce przypomniało mu Marynię, jej prawość, uczciwość, blizkie macierzyństwo — i ten ogromny spokój, to jedyne prawdziwe szczęście, które tylko przy niej mógł znaleźć — i w końcu tych wszystkich rozmyślań postanowił jechać do miasta i nie być u pani Maszkowej.

Po obiedzie kazał zaprządz. Siedząc już na Bigielowej bidce, przechylił się, uściskał Marynię i, powiedziawszy jej na pożegnanie: «Baw się dobrze» — pojechał. Poranne jego wyczerpanie minęło. Odzyskał nawet humor, czuł się bowiem zadowolony sam z siebie. Wracała mu

ufność we własne siły i własny charakter. Sprawiała mu przytem pewną drażniącą przyjemność myśl o zdziwieniu pani Maszkowej, gdy się dowie, że sobie pojechał i że nie ma zamiaru być u niej. Czuł jakąś potrzebę zemsty nad nią za to fizyczne wrażenie, które na nim wywierała. Od chwili tego listu z zaprosinami, który napisała do Maryni, pogarda jego dla niej zwiększyła się tak bardzo, iż po chwili zaczął przypuszczać, iż byłby w stanie wyjść zwycięsko nawet, gdyby teraz do niej wstąpił.

— A gdybym rzeczywiście wstąpił i nadał inne znaczenie wczorajszym słowom? — rzekł sobie.

Lecz zaraz pomyślał:

— Nie bądź oszustem przynajmniej względem siebie samego!

Był jednak pewny, że ona nie zdziwilaby się jego przybyciem. Po tem, co jej wczoraj powiedział, mogła przypuszczać, że on znajdzie jakikolwiek powód do odwiedzenia jej przed przybyciem Maryni i Bigielów, lub do pozostania po ich wyjściu.

Natomiast, jeśli go zobaczy przejeżdżającego, pomyśli, że się jej boi, albo poczyta go za blazna i gbura.

— Niema wątpliwości,— monologował dalej— że człowiek, który sam nie uważa się za blazna,

lub ciemnę, niezdolnego oprzeć się byle lalce, wstąpiłby i starał się naprawić jakimbądź sposobem wczorajsze głupstwo.

Lecz jednocześnie chwycił go strach.

Ten sam głos, który wczoraj w wieczór krzyczał mu w duszy, że jest nędznikiem, począł mu to powtarzać z podwójną energią.

— Nie wstąpię — pomyślał Polaniecki. — Rozumieć, a umieć się powściągnąć, to dwie rzeczy różne.

Zdała widać już było willę pani Krasławskiej.

Nagle przyszło mu do głowy, że pani Maszkowa, w poczuciu zniewagi, przez obrażoną miłość własną, przez zemstę, może Maryni powiedzieć coś takiego, co jej otworzy oczy. Może to uczynić jednym słowem, jednym uśmiechem, dając choćby najdalej do zrozumienia, że jakieś zuchwale jego nadzieje rozbiły się o uczciwość kobiecą — i w taki sposób objaśnić jego nieobecność. Kobiety rzadko kiedy odmawiają sobie podobnych małych zemst, a rzadziej jeszcze są jedna względem drugiej miłosierne.

— Gdybym miał odwagę wstąpić...

W tej chwili bryczka zrównała się z bramą willi.

— Zatrzymaj się — rzekł do powożącego chłopaka Polaniecki.

Na ganku zobaczył panią Maszkową, która jednak cofnęła się zaraz do wnętrza domu.

Połaniecki przeszedł dziedziniec; we drzwiach przyjął go służący.

— Pani na górze — rzekł.

Połaniecki czuł, że nogi drżą pod nim, gdy wchodził na piętro, tymczasem zaś przez głowę przelatywały mu następne myśli:

— Kto życie bierze lekko, ten może sobie na wszystko pozwolić, ale ja go nie biore lekko. Gdybym po tem wszystkiem, com uświadomił, com przemyślał i com sobie powiedział, nie umiał nad sobą zapanować, byłbym ostatnim człowiekiem.

Tu, stanąwszy we drzwiach pokoju, który mu wskazał służący, spytał:

— Można?

— Proszę — ozwał się precedzony głosik.

I po chwili znalazł się w buduaru pani Maszkowej.

— Wstąpiłem, — rzekł, podając jej rękę — by się wytłómaczyć, że nie mogę być na podwieczorku. Muszę jechać do miasta.

Pani Maszkowa zaś stała przed nim z pochyloną nieco głową, ze spuszczonei oczyma, zmieszana, pełna widocznej obawy, mając w postawie i wyrazie twarzy coś zrezygnowanej

ofiary, która widzi, że stanowcza godzina nadeszła — i że nieszczęście stać się musi.

Nastrój ten ogarnął w jednej chwili i Połanieckiego, więc przysunąwszy się nagle, począł pytać stłumionym głosem:

— Pani się boi... Czemu pani się boi?

KONIEC TOMU DWUDZIESTEGO.





„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji, oraz bezpłatne reprodukcje kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

## TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty  
**dalszych**

# 12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) **wszystkie utwory autora „QUO VADIS“.**

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (ent. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamiół, Organista z Pouikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedia z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75.

W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:

**Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.**







WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH  
B I B L I O T E K A

78956 LP

Biblioteka WSP Kielce



0226134